CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 31 (1871) ● 31 lipca–6 sierpnia 2026

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Nasz kumpel Daniel

str. 3



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 931df08398

WOJNA DOMOWA

PiS poszło w pizdu. Nie tak całkiem, ale trochę – choć więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Czterdziestka posłów z płuca Mateusza Morawieckiego nie podpisała deklaracji lojalności wobec prezesa – zgodnie z oświadczeniem swego wodza: „Lojalki nie chcę podpisywać, bo w latach 80. też mnie proszono o podpisywanie lojalek i to odrzucam" – i wobec tego została wylana z PiS-u. Taka była przynajmniej wersja w piątek, bo we wtorek się okazało, że musi się sama wylać, a jak nie, to będzie podlegać długiej i dość obelżywej procedurze dyscyplinarnej. Rokoszanie olali niewylanie i ogłosili założenie klubu parlamentarnego, co było równoznaczne z odejściem, ale jednak bez odchodzenia. Impas trwa.

Na moment zamykania tego numeru „NIE" tak do końca nie wiadomo, jaki jest status zaprzańców, ale odnotowujemy interesującą zmianę rozłożenia akcentów. Po tym, jak Jarosław Kaczyński ogłosił w piątek, że „około trzydziestu kilku posłów naszej formacji zrezygnowało z członkostwa, w związku z tym we wtorek odbędzie się posiedzenie Komitetu Politycznego, który przyjmie ten fakt do wiadomości" – a komitet przesłał sprawę do szczerze zdziwionego rzecznika dyscyplinarnego – dziennikarze zaczęli pytać, jak to w końcu jest. „W statucie nie ma oświadczenia prezesa jako podstawy do wykluczenia z partii" – odparował Przemysław Czarnek, co miało chyba być złośliwością pod adresem dziennikarzy, ale zabrzmiało jak arogancja wobec prezesa. Ten z kolei ponoć poskarżył się na posiedzeniu komitetu, że Morawiecki mu powiedział: „Jarek, ty już niedomagasz" i dlatego należy go wyrzucić na zbity pysk. Jak śpiewał Młynarski: „Autorytet mnie się kruszy, autorytet, kurcze, ważna rzecz".

Do tej nerwowej atmosfery wielu polityków obu PiS-ów dorzuca swoje. Zaistniał – jakże nam tego brakowało – Jarosław Kurski, który poinformował widzów Republiki, że Mateusz Morawiecki jest „żałosnym trybikiem" w „niemieckim planie podboju Europy", do którego niezbędne jest „rozwalenie PiS". I jeszcze, że były premier zawsze był agentem tuskizmu, na co dowodem jest fakt, iż „nad zwłokami Lecha Kaczyńskiego Tusk ściskał się z Putinem tymi samymi rękami, którymi miesiąc wcześniej wręczał nominację Morawieckiemu". Na odnotowanie zasługuje też poseł Bartłomiej Wróblewski – ten od wniosku o całkowity zakaz aborcji pod pretekstem usunięcia „przesłanki eugenicznej" – który ogłosił: „Uważam, że przynajmniej jeśli chodzi o znakomitą część osób, które zdecydowały się na opuszczenie Prawa i Sprawiedliwości, była to decyzja absolutnie niekonieczna". Może gdyby p. Wróblewski nie wepchnął partii w okowy religijnego ekstremizmu, zgłaszając ten pojebany wniosek do TK – po czym notowania PiS-u spadły o 10 punktów procentowych i już się nie podniosły – to jakaś część relatywnie centrowych prawaków z jego partii nie dostrzegłaby takiej konieczności. Nie żeby to nas martwiło.

À propos ekstremistów i TK: ten niezbyt zdrowy organ, aktualnie w rękach eksprokuratora Święczkowskiego, ustami eksprokuratora Piotrowicza odebrał parom jednopłciowym zagwarantowaną im przez TSUE możliwość transkrypcji aktów małżeństwa. Albowiem – wywodził Piotrowicz – możliwość transkrypcji prowadziła „w dalszej konsekwencji do ułatwienia uznania tego rodzaju relacji międzyludzkich za małżeństwa w rozumieniu prawa polskiego". Ślub między kobietą i mężczyzną może prowadzić w dalszej konsekwencji do ułatwienia chłopu bicia baby, ale nikt nie postuluje, aby z tego powodu zdelegalizować małżeństwo. Koncept kształtowania prawa wedle tego, do czego może w dalszej konsekwencji prowadzić w wyobraźni osób dotkniętych szczególnymi obsesjami, nie do końca odpowiada idei demokratycznego państwa prawego.

Marszałek Czarzasty wypowiedział się w sprawie nowego klubu parlamentarnego, który chcą założyć morawianie. „Sejm jest stabilną instytucją, w związku z tym jeżeli panowie i panie z Prawa i Sprawiedliwości codziennie zmieniają zdanie w sprawie własnej przyszłości, to ja daję im czas na to, żeby się wyszaleli. Wyszalejcie się, uspokójcie, znajdźcie jakiś rozsądek"… I jeszcze dodał z wdziękiem, że „miesiąc sierpień ogłasza jako miesiąc rozsądku i nostalgii". Marszałek Czarzasty byłby znakomitym kierownikiem letniego obozu karate dla chłopców z dysfunkcyjnych rodzin, ale może jak na drugą osobę w państwie jego metody wychowawcze są nieco zbyt sztubackie.

Inna gwiazda lewicy, wicepremier Gawkowski, wypowiedział się na temat wspólnych celów politycznych, które mają „Kaczyński, Braun i Mentzen". Zaliczył do nich „doprowadzenie do tego, żeby wojna na Ukrainie się skończyła, nieważne jak, niech się skończy". Abstrahując od faktu, iż „Kaczyński, Braun i Mentzen" mają jednak zauważalnie różne programy, a także postawy wobec Rosji i Ukrainy – fakt, że lewicowy (z nazwy) polityk uważa chęć doprowadzenia do końca wojny za patę, którą można przywalić politycznym przeciwnikom, wskazuje, że z lewicą w Polsce dzieje się coś dziwnego.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA



Sierpień 2014 r. BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Juliana

Najtrafniejszym symbolem powstania warszawskiego pozostaje PRL-owska Nike – wojownicza bogini bez głowy.

Świętego Eymarda

Kiedy byłem dzieckiem w czasie wojny, kazano mi żreć jabłka, żebym przeżył złe czasy w zdrowiu. Nie jadłem. Teraz jabłka są paszą patriotyczną gryzioną dla dobra sadowników. A gówno. Niech sadzą golonki. Jabłka są obrzydliwe.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Świętej Lidii

Pudel Azor uciekł, pomimo tego że on i ja mamy dużą ochronę, która nas pilnuje. Gdzie go poniosło? Do jakiejś suczki z cieczką nie mógł pomknąć, gdyż po pobycie u nas szczekliwej Loli Azor zadeklarował, że jest gejem. Coming out Azora był radośnie obchodzony. Znaleźliśmy go przed sklepem spożywczym, gdzie w gronie kundli oczekiwał na poczęstunek kiełbasą, która się zaśmierdła. Biedakowi znudziły się wyroby dla psów z kaczki, indyka lub dziczyzny. Daniszewska bardzo to przeżywa, że śmierdzącą kiełbasę postawiono ponad jej czułości. Dobrze jeszcze, że ja nigdy pod sklep nie uciekam.

Świętej Lidii (cd.)

Piotr Bączek (niepotrzebne zdrobnienie) pisze w „Gazecie Polskiej": „Publikacja raportu WSI jest porównywalna do zwycięstwa, jakie Piłsudski odniósł nad bolszewikami w roku 1920". Widocznie PiS szykuje już dla Macierewicza buławę marszałka wojsk polskich. Wystruganą z kości ruskich szpiegów i złota PSL.

Świętego Jana Marii

Miałem urodziny. Przyjechała rodzina z przymusem na twarzach. Z lękiem patrzyłem na wnuczkę, która ma już 30 lat, więc za kilka lat może się już zacząć rozmnażać. W młodości spodziewałem się dla siebie raka, zawału, katastrofy drogowej, potępienia przez partię, ale nigdy pradziadkostwa.

Świętego Abla

Książę Jerzy Windsor skończył rok, co pokazała TVN. W Wielkiej Brytanii kolejka do tronu jest tak długa jak w Polsce do raka. To niemowlę będzie żyło 100 lat z szansą na panowanie przez ostatnie pięć. 95 lat czekania na śmierć prababki, dziadka, ojca – co to za życie?

Transfiguracji (ki diabeł?)

Ks. Lemański pobratał się z szatańskim Owsiakiem i napyskował na biskupów. Stopniowo dojrzewa do pisania w „NIE". Musi tylko przestać się powoływać na Chrystusa i papieża. Podsuwamy mu zawierzenie prof. Hartmanowi. Broń Boże nie diabłu, bo on jest gojem.

Świętego Gaetana

Do ostatnich obchodów powstania warszawskiego uważałem je za idiotyzm i pisałem, że nie należało w nim walczyć, czyli prosić się o rzeź. Po uroczystościach 70-lecia w ogóle przeszedłem na stronę Niemców.

Świętego Gaetana (cd.)

Media proszą o pomoc dla kalekich dzieci, starych koni, bezpańskich psów, hodowców jabłek, bezdomnych itd. Współczującym coraz trudniej wybrać lokatę uczuć. Najlepiej kupić więc pół litra, żeby pomóc sobie. I tak uczyniłem.

Noc ze św. Gaetana na św. Dominika

Na przełomie miesięcy telewizje zamęczały widzów korkami aut na autostradach. Stojące auta są mało widowiskowe i od siedzenia w nich nie umiera się jak w Gazie czy na Ukrainie. Co by tam PiS mówiło, stajemy się społeczeństwem spasionym i znudzonym. Jakaś wojna domowa w Polsce by nas rozerwała.

W Turcji islamiści zakazują dziewczynom śmiechu. U nas biskupi zakazują im tylko wyśmiewania kleru i jego wierzeń. Ale to nie ostatnie słowo Kościoła.

Daniszewska powiada, że nie jest antysemitką, tylko szlachcianką, przez co mówi do mnie „żydku" przez bardzo małe „ż".

Świętego Dominika

W latach 90. „Gazeta Wyborcza" oskarżała „NIE" o zoologiczny antyklerykalizm. Teraz wprowadziła się do sąsiedniej klatki. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Karol Nawrocki** podziękował Rodzinie Radia Maryja za boże szaleństwo. Boże szaleństwo można również nabyć w niektórych amsterdamskich sklepach.
- **Daniel Obajtek** kupił kucyka szetlandzkiego. Teraz dopiero zacznie rumakować.
- **Stanisław Dziwisz** poprosił sąd, by ten przestał go wzywać na przesłuchania. Nie dzwoń i nie pisz do mnie nigdy więcej!
- W Częstochowie, wskutek protestów mieszkańców, odwołano występ blackmetalowego zespołu **Batusha**. Widać Czarna Madonna nie lubi konkurencji.
- **Leon XIV** na Monte Cassino modlił się o pokój. To jest jego ulubiony toast.
- **Mateusz Morawiecki** powiedział, że różnica zdań nie jest zdradą. Chyba że różnica zdań dotyczy kwestii sypiania z listonoszem.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Organy ośmieszone

Będąc od kilku lat wręcz entuzjastycznym czytelnikiem „NIE", z wielkim zainteresowaniem obejrzałem również ostatnią rozmowę z Panią Redaktor (Agnieszką Wołk-Łaniewską – red.) na kanale „Wbrew cenzurze" (8 lipca 2026 r. – red.) , który także lubię i cenię. Ciekawy był m.in. wątek dotyczący Krzysztofa Stanowskiego. W związku z tym chciałbym się podzielić z Panią Redaktor pewną refleksją odnośnie wspomnianego kandydata w zeszłorocznych wyborach. Ośmieszył on, nie wiem, czy w tym zakresie w sposób zamierzony, także organy, które dopuściły go do udziału w tychże wyborach, a konkretnie kryteria przyjęte przez owe instytucje przy rejestrowaniu kandydatów. Kryteria te miały stricte formalny charakter. Zupełnie pominięto składane wielokrotnie przez Krzysztofa Stanowskiego deklaracje, że nie chce, aby wybrano go na urząd Prezydenta RP. Zignorowano zatem rażącą niespójność między formalnie wyrażoną „wolą" kandydowania a dobitnie manifestowaną niechęcią do bycia wybranym, czemu przecież kandydowanie w wyborach zasadniczo służy. Wydaje się zatem, że błędnie przyjęto, iż Krzysztof Stanowski faktycznie chciał kandydować – skoro wyraźnie nie chciał on wystąpienia stanu będącego potencjalnym i generalnie pożądanym następstwem kandydowania, czyli wybrania na urząd Prezydenta RP. Tak kandydat, świadomie czy nie, ośmieszył ważne organy.

Grzegorz Ruchlewicz

Żywa ulotka defetystyczna

Nawiązując do opisanych w artykule „Fioł militarystyczny" („NIE", nr 30/2026 – red.) planów szkolenia żołnierzy w najbardziej brutalnych odmianach wschodnich sztuk walki, proponuję fachowcom opracowanie, a potem oczywiście wdrożenie szkoleń w dziedzinie biegunowo odmiennej. Zamiast wyrządzać krzywdę, w celu unieszkodliwienia i wyeliminowania, można działać w sposób wręcz przeciwny. Wyrządzone „dobrodziejstwo" czasowo skutecznie obezwładni, w dalszej kolejności odbierze wolę dalszej walki, a naturalną agresję skieruje przeciwko prawdziwym wrogom, czyli przełożonym, uzurpującym sobie prawo szafowania ludzkim życiem. Taka „żywa ulotka defetystyczna" niewątpliwie zniweczyłaby wszelkie zdolności bojowe, nawet amerykańskie. Polskie zapewne też.

Czytelnik

eprasa.pl 931df08398

Obajtka dialog z ulicą

Stawiliśmy się na wezwanie prezesa Kaczyńskiego

Już dawno nasz tygodnik nie otrzymał takiego wsparcia medialnego. Wszystkie główne media, z lewa i z prawa, od Trwam i Republiki po gazetę.pl i TVP odnotowały wezwanie Daniela Obajtka do prokuratury.

Prokuratura Okręgowa w Warszawie zechciała postawić byłemu prezesowi Orlenu dwa zarzuty. Jeden związany z tym, że zakazał sprzedaży numeru 10/2023 tygodnika „NIE”.

– Podjąłem decyzję o wycofaniu ze wszystkich punktów sprzedaży Orlenu nowego wydania tygodnika „NIE”, którego okładka przekracza wszelkie granice – stwierdził wówczas Daniel Obajtek i dodał: – Mamy miejsce dla wszystkich tytułów prasowych, ale nie ma zgody na mowę nienawiści i niszczenie autorytetu Świętego Jana Pawła II.

Daniel Obajtek wezwał teraz swoich zwolenników, by zjawili się przed prokuraturą, aby go wesprzeć wobec siepaczy, którzy chcą go zniszczyć za obronę uczuć religijnych. Odpowiedzieli. Ludzi może nie było dużo, ale za to aktywni, chętni do zademonstrowania solidarności z prześladowanym multimilionerem zagrożonym bestialską karą grzywny.

Sam Obajtek zjawił się w silnej obstawie: był Przemysław Czarnek, był Antoni Macierewicz ze stalowym spojrzeniem i betonową twarzą, stawił się Dariusz Matecki, Michał Woś i Waldemar Buda, była posłanka Dorota Arciszewska, słowem: wielcy ludzie środowiska. Nie było prezesa Kaczyńskiego, jednak wsparł Obajtka ciepłym, jakże bojowym słowem: „Apeluję! Już 28 lipca br. spotkajmy się wszyscy pod budynkiem Prokuratury Okręgowej w geście solidarności z Danielem Obajtkiem. Kolejny raz jest on szykanowany przez nielegalną prokuraturę Żurka. Tylko razem możemy zatrzymać szaleństwo rządu Tuska!”…



Zdjęcia MACIEJ WIŚNIOWSKI

Tu Obajtek pokazuje okładkę tygodnika „NIE”, która stała się zarzewiem całej sprawy. Na okładce Jan Paweł II, wsparty na pastorale w kształcie krzyża, na którym jest ukrzyżowana lalka w kształcie dziecka.

Wspierający prowadzili aktywny dialog z przemawiającymi.

Daniel Obajtek: – Każdy człowiek, który ma w sobie odrobinę godności, zachowałby się tak jak ja. Bo nie ma zgody w Polsce na to, by bezcześcić symbole religijne!

Lud: – Nie ma! Nie ma!

A potem już idzie równo: – Nie-ma-zgody! Nie-ma-zgody!

Obajtek: – Jestem pokoleniem JP2. Różnie w życiu bywało, ale Jan Paweł II jest największym z Polaków i nie będzie szczujnia drukować okładek z krzywdzeniem Jana Pawła II, nie będzie szczujnia drukować okładek, gdzie jest bezczeszczenie krzyża. Nie ma na to zgody! Tutaj powinna stać przed prokuraturą gazeta „NIE”!

Lud: Tak, powinna, brawo!

Oklaski, oklaski.

Obajtek: – Gdyby prokurator krajowy, uzurpator tak naprawdę, znał prawo, to wiedziałby doskonale, że artykuł 196 kodeksu karnego, który mówi, że kto rani uczucia religijne, podlega karze grzywny lub więzienia! I tu powinni stać redaktorzy gazety „NIE”!

Lud: – Ukarać! To bagno jest!

Obajtek następnie kilka niedbałych słów poświęca kolejnemu zarzutowi dotyczącemu redaktora Piotra Nisztora i przechodzi do rzeczy.

– Donald Tusk w swojej kampanii wyborczej stwierdził, że jednym z punktów kampanii jest rozliczenie Daniela Obajtka. Za co? Za to, że zbudowaliśmy największy koncern w Europie, że zabezpieczyliśmy Polske w ropę i gaz? – zapytuje retorycznie. – Dziś ta szczujnia, ten rząd, który jest antypolski, próbuje chodzić i chwalić się, te inwestycje w energetykę przypisać sobie, a niedawno chcieli mnie za to na 25 lat zamykać!

Lud: – To ubecja jest. Da-niel Obajtek! Da--niel Obajtek! Jesteśmy z tobą!

Dalej Obajtek wysuwa śmiałe stwierdzenie, że ceny benzyny to zasłona dymna, by odciągnąć uwagę od niejasności wokół sprzedaży Niemcom części polskiego biznesu solnego. Lud dziarsko odpowiada, że Tusk powinien siedzieć.

Obajtek: – Tak wygląda ten aparat opresji!

Lud: – Zło-dzie-je!

Następnie Obajtek reklamuje stojącego obok Przemysława Czarnka i przedstawia wizję, co by się działo, gdyby Rosja zaatakowała Ukrainę, a Polska brała ropę i gaz z Rosji.

– Uuuuu! – przejmuje się obok mnie wiekowy pan w maciejówce na głowie.

Lud: – Tu jest Polska, tu jest Polska!

Obajtek przekonuje, że dzisiaj mamy tylko politykę proniemiecką i że rządzący nie wstydzą się, że reprezentują interesy niemieckie.

– Nie-miec-kie o-nu-ce! – odpowiada lud, nieco bez sensu, bo nawet gdyby Niemcy nosili onuce, to byłyby czyste i pachnące, więc co to za obelga.

Potem tylko jeszcze kilka słów wtrąca Obajtek o ministrze Żurku i że cieszy się z postawionych mu zarzutów, a lud odpowiada, że minister to szmata jest. Obajtek wzywa do jedności i dodaje, że z nimi – z prokuraturą – trzeba twardo. Wreszcie cofa się o krok żegnany skandowaniem swojego nazwiska, a mikrofon przejmuje Przemysław Czarnek.

Prezesowski pomazaniec na premiera mówi o cenach paliwa i gazu, żąda, by Orlenem zarządzano „po polsku, tak jak to pokazał Daniel Obajtek”.

– Pan Daniel Obajtek zdjął z półek szmatławca, który bezcześcił dobre imię papieża, po to się zbieramy, żeby bronić go przed tymi zarzutami – wyjaśnia Czarnek.

Oklaski. Skandowanie nazwiska Obajtka.

– Czy można być jednością ze złodziejem, z mordercą?

– Nie można – odpowiadają oburzeni ludzie.

– Mało jest ludzi, którzy byliby w stanie powiedzieć „nie”, pomimo kontraktów, pomimo zobowiązań. Stoję na czele polskiego Orlenu i nie pozwolę na to, by na polskich stacjach Orlen bezczeszczono pamięć świętego Jana Pawła II – wizualizuje myślenie Obajtka Czarnek. – Od tego jestem Polakiem na czele polskiej firmy, żeby walczyć o Polskę tak jak Daniel Obajtek, bez względu na konsekwencje!!!

I na koniec od przyszłego premiera szczypta zastraszenia pod adresem tych urzędników i prokuratorów, którzy wykonują polecenia obecnych przełożonych: – Pamiętajcie jedną rzecz: sprawiedliwość przyjdzie i każdy, kto dzisiaj łamie prawo w imię zemsty i przeciwko Polsce, będzie za to ponosił odpowiedzialność!

Lud: – Murem za Obajtkiem! Murem za Obajtkiem!

MACIEJ WIŚNIOWSKI

Nasz kumpel Daniel

Były prezes kontra były premier

Po pierwsze i najważniejsze: w imieniu kolektywu redakcyjnego i wydawcy tygodnika „NIE” chciałam najserdeczniej podziękować panu europosłowi Danielowi Obajtkowi za jego niestrudzone wysiłki na rzecz promowania naszej gazety. Sytuacja prasy papierowej jest niełatwa, więc polityk, który regularnie i konsekwentnie fotografuje się z okładką „NIE”, jest dla nas nie do przecenienia.

W tym kontekście wypominanie panu Obajtkowi drobnych nieścisłości w jego wypowiedziach zakrawa na jaskrawą niewdzięczność, więc czynię to z wielkimi oporami, ale cóż: *amicus Plato, sed magis amica veritas*.

Otóż deklaracja p. Obajtka zawarta we frazie: „Nie jest to żadna cenzura, bo właściciel biznesowy podejmuje decyzję, jaki tygodnik może być, a jaki nie” – nie daje się niestety pogodzić z jego następnym oświadczeniem: „Tak, kazałem generalnie wyrzucić tygodnik »NIE«, z racji tego, że to było bezczeszczenie uczuć religijnych”. Te wypowiedzi są – jak by to ująć – wzajemnie sprzeczne. Co jest dość ważne, albowiem art. 3 prawa prasowego stanowi: „Pracownik poligrafii oraz kolportażu nie może ograniczać ani w jakikolwiek inny sposób utrudniać drukowania i nabywania przyjętych przez przedsiębiorstwo do druku i rozpowszechniania dzienników, czasopism lub innych publikacji prasowych z powodu ich linii programowej albo treści”.

„Wyrzucenie tygodnika »NIE«” stanowiło przestępstwo przeciw wolności prasy z art. 49 prawa prasowego, zagrożone grzywną lub ograniczeniem wolności – czyli traktowane niezbyt poważnie. Co być może warto byłoby przedyskutować, albowiem niedopuszczenie do sprzedaży gazety – zwłaszcza takiej jak my, żyjącej ze sprzedaży – jest równoznaczne z konfiskatą nakładu, będącą klasycznym przykładem cenzury następczej. Ale odłóżmy ten spór prawny, albowiem myślę sobie, że warto – na chwilę – przypomnieć istotę sporu merytorycznego.

Inkryminowana okładka „NIE” przedstawiała JP2 z pastorałem, na którym ukrzyżowana była lalka. Była to ilustracja faktu, który wtedy, w marcu 2023 r., zaczął docierać do świadomości społecznej, głównie dzięki znakomitej książce Ekkego Overbeeka „Maxima culpa. Jan Paweł II wiedział” i cyklowi reportaży Marcina Gutowskiego „Bielmo” w TVN24. Otóż Wojtyła wiedział o księżej pedofilii i wybrał chronienie pedofilów zamiast chronienia dzieci: najpierw jako biskup krakowski, a potem jako papież. Są liczne dokumenty podpisane przez Wojtyłę, zeznania świadków, którzy go informowali i spotykali się z obojętnością, znamy nazwiska rozgrzeszanych przez niego zboczeńców i ich losy. W tym kontekście naszą okładkę, wyobrażającą ofiarę w formie plastikowej lalki – a nie, na przykład, trzecioklasistki z penisem księdza Loranta w ustach – uważamy za przejaw daleko idącego taktu. Jest nam przykro, że prezes Obajtek tego nie docenił – acz wybaczamy mu ze względu na jego wysiłki promocyjne.

A skoro już się tak zgadało o zasługach Daniela Obajtka, to chciałam dorzucić jeszcze jedną: że został z Kaczyńskim, a nie poszedł z Morawieckim. Co jest dobre dla tego drugiego.

I wiem, wiem, pewnie mi się oberwie od wielu Czytelników, ale uważam, że w interesie społecznym jest powodzenie Rozwoju Plus. Oczywiście, że nikt z polityków z nowej formacji – z Mateuszem Morawieckim na czele – nie zasługuje na zaufanie. Ale serio: kto zasługuje?

Koalicja, która szła do władzy, wznosząc okrzyki o konstytucji, poszanowaniu praw człowieka i zbrodniach na granicy – a potem uchwaliła zawieszenie prawa do azylu i immunitet dla mundurowych niezgodnie z przepisami strzelających do ludzi? Partia, która obiecywała zniesienie limitów szpitalnych NFZ w ciągu stu dni, a potem przywróciła limity na badania przesiewowe na raka, żeby finansować opętańczy poziom wydatków na zbrojenia? Premier, który obiecywał dobrobyt wszystkim, a potem powierzył reformowanie przepisów regulujących gospodarkę miliarderowi, którego fortuna wyrosła na pracy ludzi zatrudnianych na umowach śmieciowych? Lewica, która miał być społecznym sumieniem rządu, a jej lider, obejmując stanowisko marszałka sejmu, zaczął od ogłoszenia, że będzie przede wszystkim lojalnym koalicjantem Tuska?

Tak szczerze: czy możecie wymienić na polskiej scenie politycznej choć jedną osobę – żeby nie powiedzieć: formację – do której mielibyście pełne zaufanie? Więc dlaczego mielibyśmy ufać akurat Morawieckiemu i jego 40 rebeliantom?

Odpowiedź brzmi: nie mielibyśmy.

Jest natomiast pytanie: co nam się bardziej opłaca? Słowa „my” używam w znaczeniu klasowym: nam, jako ludziom żyjącym ze sprzedawania swojej pracy. Ale też jako ludziom postępowej lewicy, nietęskniącym za państwem klerykalnym.

Zdecydowanie nie opłaca nam się wyłaniający się z dziesiątków sondaży układ sejmowy, w którym niemożliwy jest rząd bez Konfederacji. A tak to właśnie wyglądało dotychczas: czy rząd będzie tworzyć Tusk, czy Kaczyński, obydwaj będą musieli pójść do łóżka z Mentzenem. W każdym z prognozowanych dotychczas układów większość ma PiS z dwiema konfami – albo Tusk z jedną.

Kilku analityków wskazuje na wspólną „wolnorynkowość” tych dwóch formacji jako możliwy fundament do budowania przyszłej koalicji. Dla mnie jest to wizja przerażająca. I zdecydowanie wolę w takiej koalicji – czy z Kaczyńskim, czy z Tuskiem – formację Mateusza Morawieckiego, który zna się na gospodarce, który nie lęka się słowa „keynesizm”, którego rząd prowadził aktywną politykę społeczną, skutecznie poprawiając sytuację pracowników (przez wzrost płacy minimalnej, wprowadzenie minimalnej płacy godzinowej etc.) – niż Mentzena z jego darwinizmem społecznym.

Kulturowo także Mentzen jest groźniejszy: choćby dlatego, że chce zakazać przerywania ciąży pochodzącej z gwałtu, bo „nie wolno zabijać niewinnych dzieci, nawet jeżeli to dziecko wiąże się z jakąś nieprzyjemnością”. Morawiecki, który ostatnio pokazał się w koszulce z hasłem „Wspieramy kobiety”, nie jest – to prawda – nadmiernie wiarygodny. Ale jestem już skłonna mu uwierzyć, że był przeciwko zaostrzeniu ustawy antyaborcyjnej przez trybunał mgr Przyłębskiej, gdyż – jak to ujął – nie chciał „rozkiwania wahadła”.

Co więcej, kiedy wymieniał cele swoje nowej formacji: „walka o silną Polskę, portfele Polaków, miejsca pracy, miejsca pracy dla młodych, mieszkania, praca, rozwój, tożsamość, kultura, wiara chrześcijańska, obrona krzyża” – to ten krzyż był doklejony na końcu i na siłę. Morawiecki jest doprawdy zbyt zamożny, zbyt europejski i zbyt głęboko zanurzony w nowoczesności, żeby silić się na religijny fanatyzm. Nie dziwota, że wojownik o cześć papieża Polaka Daniel Obajtek porzucił jego piaskownicę.

Być może stanie się cud i w ciągu najbliższych 15 miesięcy powstanie w Polsce nowa, wizjonerska gospodarczo, postępowa społecznie, antywojenna, propracownicza i charyzmatyczna lewica, która szturmem zdobędzie scenę polityczną i samodzielnie stworzy rząd. Ale jeśliby przypadkiem do tego nie doszło – w każdym prawackim układzie wolę Morawieckiego od wszystkich innych.

A brzydzę się wszystkimi po równo.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 931df08398

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Poseł Mateusz Morawiecki miał smutny wzrok zrezygnowanego spaniela. Patrzył z wyrzutem na europosła Daniela Obajtka. Patrzył i nic nie mówił.

Europoseł Obajtek uciekał wzrokiem przed spojrzeniem posła Morawieckiego. Wił się jak wij i płaszczył jak płaszczka. Albo jak płaziniec.

– Musiałem, po prostu musiałem… – jęczał. – Nie mogłem, po prostu nie mogłem…

Morawiecki nie odzywał się słowem.

– Ten chuj pierdolony, brudna pała, powiedział, że jak odejdę, to zrobią mi z dupy jesień średniowiecza – w europośle odezwał się zaprzyjaźniony z nim zespół Tourette'a.

Poseł i renegat zaszczycił Obajtka pytającym spojrzeniem.

– Mówił skurwysyn, że mają na mnie tyle, że upadnę i już nigdy się nie podniosę – prawie płakał były prezes Orlenu. – Bo wszystko mają: zdjęcia, filmy, nagrania, oświadczenia prostytutek, męskich i żeńskich…

Morawiecki skrzywił usta w grymasie niesmaku.

– A jak zostanę – ciągnął Obajtek – to mi pomogą, przydzielą zaprzyjaźnionego adwokata, a gdy będzie trzeba, to załatwią dziennikarską wizę do Ameryki.

Były premier wzniósł oczy do nieba i z niechęcią pokręcił głową.

– Przysięgam, że jak tylko wyjdę z tego cało, to odejdę i już nigdy nie wrócę, a Sasin z Bochenkiem niech się pałują – piszczał ten, który zdradził Morawieckiego, nie chcąc zdradzać Kaczyńskiego.

Morawiecki otrząsnął się jak spaniel po wytarzaniu się w kałuży. Czuł tylko obrzydzenie.

– A jak będę mógł – Obajtek upadł na kolana – to narobię tyle zdjęć i nagrań, nakręcę tyle filmików, wezmę tyle oświadczeń od prostytutek, że będziemy mieli ich w garści. I ich, chujów pierdolonych, utopimy w gównie. I już nigdy nie wypłyną na powierzchnię.

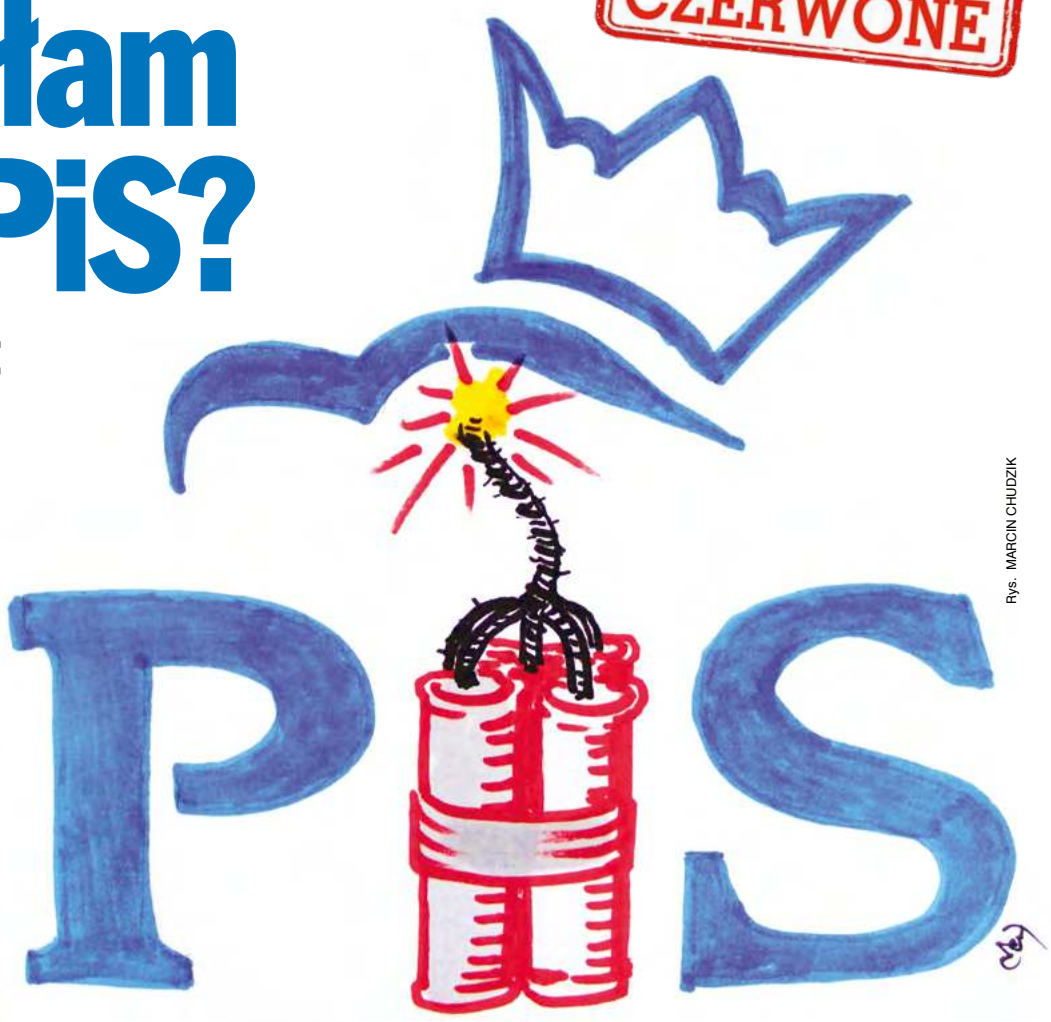
Były premier, którego wrogowie posądzali o to, że był agentem obecnego premiera, mimo wszystko się uśmiechnął. W dobry nastrój wprawiło go wyobrażenie Sasina, który idzie na dno szamba.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

SŁOWO CZERWONE

Czy rozłam osłabi PiS?

To wcale nie jest takie oczywiste



Rys. MARCIN CHUDZIK

Przemysław Czarnek miał przebić obie Konfederacje prawicowym prymitywizmem, brakiem ogłady, schlebianiem głupocie i płyciźnie umysłowej. I co? Prawie przebił, ale na niewiele się to zdało. Nie oczarował brunatnych nawołujących do ekstradycji Ukraińców czy negujących istnienie komór gazowych. Nie wystarczył brak ogłady, żeby przebić neofaszystów – trzeba samemu zostać faszystą, a to by oznaczało likwidację PiS-u.

Tymczasem Mateusz Morawiecki mógłby uchodzić za polityka centrowego – no, może gdyby nie złożył wieńca na grobach członków Brygady Świętokrzyskiej NSZ owianej złą sławą za kolaborację z Niemcami. Desygnowanie Czarnka na przyszłego premiera rządu Zjednoczonej Prawicy Morawiecki uznał za afront i zaczął energicznie tworzyć stowarzyszenie, co w polskiej praktyce politycznej oznacza zwykle zalążek nowej partii. W rezultacie narastającej w PiS walki o przywództwo Kaczyński usunął z partii liczącą 40 posłów frakcję Morawieckiego. Rządzi teraz mniejszym klubem, ale rządzi niepodzielnie.

Spór ma charakter personalny; nie padają w nim argumenty programowe. Ale to będzie musiało się zmienić. Jeżeli nie dojdzie jakimś cudem do kompromisu, obie partie – PiS Morawieckiego i PiS Kaczyńskiego – będą musiały wejść w spór o cele i metodę rządzenia krajem.

Dziś jeszcze nie wiemy, która ze zwaśnionych stron odwoła się do socjalnej spuścizny rządów PiS, a która będzie się z konfederacjami ścigać w nacjonalizmie, ksenofobii, antyukraińskości. A może także darwinizmie społecznym.

Dzikie pomysły Mentzena na gospodarkę wszyscy znają. Teraz okazuje się, że Konfederacja Grzegorza Brauna także wyznaje światopogląd balcerowiczowski, proponując m.in. likwidację płacy minimalnej. Ten sygnał dociera do potencjalnych sojuszników: ostatnio poseł Janusz Kowalski – który głosi konieczność ekstradycji z Polski wszystkich Ukraińców – objawił się także jako zwolennik podatku liniowego. To wskazuje, że były poseł PiS-u zamierza wystartować na listach Konfederacji Korony Polskiej.

Jednak obok potyczek sejmowych jest jeszcze opinia publiczna; społeczeństwo, które niekoniecznie musi pójść za nacjonalistami, jeżeli ci okażą się aspołeczni. Z ostatnich badań wynika, że 45 proc. ankietowanych popiera pomysł opodatkowania pustych mieszkań, tak aby ich niewynajmowanie przestało się opłacać. Wprawdzie aż 35 proc. uważa, że takie rozwiązanie to zamach na prawo własności – ale ten wynik to i tak przełom.

Badania opinii publicznej w Polsce od lat pokazują, że duża większość obywateli oczekuje od władz publicznych aktywnego wsparcia socjalnego oraz gwarancji bezpieczeństwa materialnego. Z niektórych badań wynika, że aż 95 proc. respondentów stoi na stanowisku, że państwo musi zapewnić obywatelowi minimalny dochód.

Najbardziej wiarygodnym ugrupowaniem w obiecywaniu socjalu jest PiS, bo to PiS zrobił ważny krok w tym kierunku. Obiecał i dotrzymał słowa. Pytanie, kto sięgnie po ten kapitał społecznego zaufania: dobijający osiemdziesiątki Kaczyński czy dwie dekady od niego młodszy były premier, który był twarzą socjalnego PiS-u? Ten, kto skutecznie zawalczy o miano prawdziwego PiS-u, ten wygra.

W tym celu trzeba jednak przedstawić nowe pomysły podziału dochodu narodowego. W kraju o największym rozwarstwieniu w Unii Europejskiej potrzebne są sprawiedliwsze podatki. Jak mawiał Kaczyński, wymaga to sięgnięcia do głębokich kieszeni. Czy uważany powszechnie za bankstera Morawiecki odważy się na to? Czy starzejący się lider, który prowadził już kiedyś PiS od zwycięstwa do zwycięstwa, postawi się klasie wyższej? Tego nie wiemy, bo póki co w debacie dominują inne, zastępcze tematy.

Jednak spór w PiS – który dziennikarze relacjonują, a ludzie śledzą z zapartym tchem – nie musi się okazać dla tej formacji tak niekorzystny, jak sugerują liberalne media. Wiele wskazuje bowiem na to, że PiS przejmie władzę. Spór idzie o to, kto stanie na czele. Nie ma nic ważniejszego niż walka o władzę w partii, która już miała iść w odstawkę, ale nie pójdzie.

Na polu słowianizmu Konfederacje nie mają konkurencji. Może się więc okazać, że dwa odłamy PiS-u będą toczyć spór o to, który z nich jest bardziej prospołeczny, socjalny. A to niezła perspektywa. Nie jest też wykluczone, że ostatecznie oba człony tej partii pójdą na wspólnych listach i będą współrządzić – i że suma ich elektoratów okaże się większa niż elektorat samego PiS-u.

Sam Kaczyński uważa, że prawdziwe państwo dobrobytu nie może istnieć tam, gdzie są ogromne różnice w zarobkach i poziomie życia. Zaś Morawiecki jeszcze jako premier wielokrotnie deklarował budowę państwa opiekuńczego.

Koalicja Obywatelska i obie Konfederacje w tym wyścigu się nie liczą. Bo żeby się liczyć, trzeba się odważyć na powiedzenie, że cudu gospodarczego nie ma i że co najmniej połowa Polaków żyje w niedostatku. Inaczej mówiąc: że król jest nagi. A to zadziała na korzyść PiS-u. Jednego albo drugiego.

Oczywiście jest jeszcze lewica. Ale żeby zaistnieć, musi podjąć próbę odklejenia się od obozu neoliberalnego. Niestety, jej kierownictwo jest lękliwe, boi się radykalnych haseł społecznych i wciąż rozważa pójście do wyborów na listach Koalicji Obywatelskiej. A szkoda by było, gdyby znów PiS obszedł lewicę z lewej strony.

PIOTR IKONOWICZ

Zapierdol w piekle

Paląca kwestia pracy w wysokich temperaturach

Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że lipcopad płynnie przejdzie w sierpniową strefę śmierci. Kto przetrwał czerwcowe 40 plus na termometrach, będzie miał szansę umrzeć na półmetku lata. Naprzeciw nowym zagrożeniom klimatycznym wyszła minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Kierowany przez nią resort opublikował rozporządzenie o pracy w upałach. Zła informacja jest taka, że glejt wejdzie w życie dopiero w styczniu 2027 r. Mimo wszystko to krok w dobrą stronę. Podpowiadamy pani minister, jak jeszcze ulepszyć przepisy, żeby lud pracujący nie skończył latem dwa metry pod ziemią.

Rodacy w pracy

Kojarzycie ten moment, kiedy człowiekowi robi się niedobrze, zamiast mózgu ma ciepły kisiel, a ciałem zaczynają wstrząsać dziwne dreszcze? To początek udaru cieplnego. Zwykło się mawiać, że ekstremalne temperatury zagrażają zawałowcom, starym dziadygom i najmłodszym. Otóż gówno prawda, ugotować może się każdy. Co gorsza, na śmierć.

Grono szczęśliwców, którym szefostwo skracało godziny pracy przez wzgląd na mało sprzyjające warunki atmosferyczne, nigdy nie było szczególnie duże. Podczas gdy krawaciarze z urzędów gnali wcześniej do domostw pod chłodny prysznic, drogowcy machali łopatami, zakłady produkcyjne zasuwały pełną parą i długo by wymieniać. Oczywiście zgodnie z art. 210 kodeksu pracy pracownik ma prawo powstrzymać się od zapierdolu, jeśli warunki pracy nie odpowiadają przepisom BHP i stwarzają bezpośrednie zagrożenie dla jego zdrowia lub życia. Ekstremalnie wysokie temperatury teoretycznie łapią się pod ten paragraf, choć nikt nie ustalił w przepisie, jakie wskazanie termometru daje zielone światło na przymusowy fajrant. Na szczęście pojawiło się rozporządzenie, które zmienia ten stan rzeczy.

Dokument określa, jakie są obowiązki pracodawców w okresie podwyższonych temperatur i kiedy praca powinna zostać wstrzymana ze względu na bezpieczeństwo wykonujących ją osób. Nie obyło się bez jęków pracodawców. Kiedy trwały prace nad nowymi przepisami,

Konfederacja Lewiatan na przykład zastanawiała się, czy instalacja klimatyzatorów przy rosnących cenach energii elektrycznej nie stawia pod znakiem zapytania sensu dalszego prowadzenia działalności gospodarczej.

Gdyby pracownikom na halach pot nie zalał oczu, na pewno uroniliby łzę wzruszenia na wieść o tej trosce. Na szczęście minister Dziemianowicz-Bąk nie pieściła się w tańcu i postawiła na swoim.

Komu zrobić dobrze

Przepisy nie obejmą służb ratunkowych i mundurowych. Rozporządzenie wprowadza też tzw. klauzulę względów technologicznych. Oznacza to, że bezwzględny zakaz pracy nie obejmie miejsc, gdzie wysoka temperatura jest nieodłącznym elementem procesu produkcyjnego – hut, piekarni czy zakładów przetwórstwa i przemysłu ciężkiego. Nam też jest przykro. Na pocieszenie: pracodawcy w takich miejscach są zobowiązani stosować inne środki ochrony pracowników, np. dłuższe przerwy w wentylowanych strefach odpoczynku.

Poza tym zmieni się sporo. Po przekroczeniu 28 st. C w pomieszczeniach firm (a przy pracach wymagających dużego wysiłku fizycznego już 25 st. C) pracodawca będzie musiał zastosować rozwiązania techniczne ograniczające temperaturę: zainstalować klimatyzację, osłony na okna albo wstawić wiatrak. Jeśli technika nie podoła, szef powinien zorganizować grafik tak, żeby zmniejszyć wpływ spiekoty na pracowników. Chodzi o skrócenie czasu pracy, zmianę godzin wykonywania najbardziej wymagających zadań albo dodatkowe przerwy. Co ciekawe, rozwiązania organizacyjne

eprasa.pl 931df08398

GADMAN

Prezes Kaczyński już został kulawą kaczką



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mateusz i 40 rozwójników

Do publicznego obiegu wraca popularna kiedyś przestroga porucznika Arka, zagranego przez Bogusia Lindę, udzielona Kubie Bergerowi, granego przez Dariusza Kordka. Z filmu „Kroll", wyreżyserowanego przez Władysława Pasikowskiego. Dziś tamto: „Nie mów niczego, czego nie będziemy mogli zapomnieć", każdy polityk polskiej prawicy powinien przepisać w swoim kajeciku sto razy. I powtarzać sobie przynajmniej kilka razy dziennie.

PPP

Dziś jednak w polskiej debacie politycznej dominuje twitterowa hejtoza. Choroba nienowa, ostatnio występowała w centroprawicy, po rozpadzie partii Polska 2050. Ale teraz politycy PiS bez przerwy i opamiętania mówią sobie rzeczy, które naprawdę niezwykle trudno będzie im zapomnieć. Bluzgają na siebie, zapominając, że już zimą przyszłego roku będą musieli się z obiektami swych obecnych hejtów porozumieć, aby stworzyć wspólną koalicję. Jeśli będą chcieć rządzić Polską.

Pomimo tego powracający na front wojny ideo Jacek Kurski z pokerową twarzą ujawnia w Telewizji Republika sekretny zamysł Mateusza Morawieckiego. Zrealizowania „niemieckiego planu podboju Europy". Demaskuje go jako „żałosny trybik" Berlina i przypomina, że były premier rządu PiS-u tak naprawdę cały czas był na służbie u ryżego Donalda Tuska. W PiS-ie przede wszystkim promował „przemysł pogardy" wymierzony w kult świętej pamięci prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Potem lizusowsko ściskał pokrętne ręce Donalda Tuska splamione obcowaniem z wrażym Putinem.

Antymorawianie nie mają już żadnej świętości. Ich hejt spada nawet na nestora PiS-u, jeszcze niedawno zausznika pana prezesa, posła Ryszarda Terleckiego. Tylko dlatego, że ubiera się jak krakowski intelektualista i łatwo go pomylić z dworcowym menelem. Atakowani morawianie odszczekują się sprawnie i godnie. Wrogów swych ubierają przede wszystkim w szaty podłych intrygantów, politycznych szczujów i prezesowskich lizusów. Wrogów PiS-u. Wiedzą, że w najbliższych tygodniach toczyć się będzie walka o rząd dusz prawicowych wyborców. O orzeczenie winy za rozbój w narodowokatolickiej prawicy. O odpowiedzialność za jej rozłam. O prawo do noszenia sztandaru prawdziwych polskich prawicowców.

Silni, zwarci, gotowi

Choć morawian jest mniej liczebnie, to zdają się być silniejsi od swych wrogów z PiS-u. Przywództwa Morawieckiego nikt z nich jeszcze nie kwestionuje. On sam ciężko na nie pracuje. Objeżdża kraj i media, gdzie codziennie kreuje się na dobrego ojca polskiej centroprawicy. Nowoczesnej i umiarkowanie progresywnej. Kreuje siebie i swoich „rozwójników", czyli aktywistów stowarzyszenia Rozwój Plus, na ludzi rozsądnych, jedynie zainteresowanych pracą od podstaw dla dobrobytu prawicowej Polski. Morawiecki nie raz już udowodnił, że jest mistrzem politycznego kłamstwa. W ostatnich tygodniach wspiął się na wyżyny tej sztuki manipulacji.

Jego 40 „rozwójników", jak choćby Dworczyk, Horała, Cieszyński, Schreiber, ubierają się znacznie lepiej od Terleckiego, pięknie prezentując się w telewizyjnych kamerach. Dodatkowo są bardzo sprawni w politycznym bajerowaniu podczas wielopartyjnych telewizyjnych i radiowych debat. Nie boją się występów nawet w niechętnych im mediach. Są to ludzie, którzy nie muszą teraz przychodzić „do polityki dla pieniędzy", bo na polityce pieniędzy już się dorobili. Uczestnicząc w rządach PiS-u, zwłaszcza kiedy premierem był Mateusz Morawiecki. W walce politycznej przypominają macedońską falangę, albo polską husarię. Atakując, nie potrzebują codziennych przysyłanych im z góry przekazów dnia.

Kupą, mości panowie

Ich pisowscy przeciwnicy są zdecydowanie liczniejsi. I to jest ich jedyna przewaga. W mediach prezentują się znacznie gorzej. Wizualnie i przede wszystkim – przepraszam za to wyrażenie – intelektualnie. To są politycy przyzwyczajeni już do mówienia otrzymywanymi z centrali przekazami dnia. Do publicznie wyrażanego kultu niepokalanego prezesa Kaczyńskiego. Zawierzania Jego woli. Straszenia wyborców kolejnymi wrogami. Teraz miejsce LGBT, islamskich migrantów i Ukraińców zajmują wraży morawianie.

Partyjnego przywództwa prezesa Kaczyńskiego antymorawianie nie kwestionują. To dogmat. Inaczej jest w przypadku wyboru kandydata na kandydata na premiera przyszłego rządu PiS-u. Jak sejmowe wiewiórki ćwierkają, obecna kandydatura Przemysława Czarnka jest już kwestionowana nawet we frakcji „maślarzy", która go niedawno forowała. Bo Czarnek nie sprawdził się w roli anty-Brauna. Nieraz ośmieszył się swą sztuczną radykalizacją. Zyskał w sejmie ksywkę Braunek.

Teraz „maślarze" lansują nową kandydaturę na „premiera technicznego": Tobiasza Bocheńskiego. Ten nie będzie już ścigał się na radykalizmy z Braunem, tylko powalczy o centroprawicowych wyborców. O których chce zabiegać też krzywousty Morawiecki. Postrzegany teraz jako groźniejszy od Brauna. Zatem to Bocheński może zostać pisowskim anty-Morawieckim.

Nie będzie mu lekko, bo przeciwników Morawieckiego skupionych w PiS-ie łączy jedynie ich niechęć do byłego premiera z PiS-u. Poza tym mają oni różne wizje wielkiej narodowokatolickiej prawicowej Polski. I przede wszystkim różnych kandydatów na przyszłego premiera. Czekających na potknięcie Bocheńskiego. Wojskowo antymorawianie przypominają szlacheckie pospolite ruszenie z końca I Rzeczypospolitej. Reagującego w razie zagrożenia na zasadzie „szlachta na koń wsiędzie, ja z synowcem na czele, i jakoś to będzie".

Rozwój czy rozbój

W PiS-ie doszło do rozłamu. Ale o jego powodach – wielu merytorycznych, programowych – dyskusji nie ma. Wiemy tylko, że powodem usunięcia z partii grona polityków było ich uczestnictwo w stowarzyszeniu Rozwój Plus. Uznanym za wrogie przez kierownictwo PiS-u. Nazywanym już w sejmowych kuluarach Rozbój Plus.

Stronnicy byłego premiera zdradzają w nieoficjalnych rozmowach, że dostali sygnały z kierownictwa PiS-u, aby rozważyli swoje pozostanie w klubie parlamentarnym PiS-u. Skoro jest tam „środowisko" Marcina Ociepy ze stowarzyszenia OdNowa, do którego politycy Prawa i Sprawiedliwości nie należą i nie należeli, to może zmieści się tam też „środowisko" Mateusza Morawieckiego związane z Rozwój Plus. To dla pracy klubu decyzja ważna. Dotychczas klub PiS był największym w sejmie, bo liczył 186 parlamentarzystów. Po odejściu 40 morawian, największym zostanie klub Koalicji Obywatelskiej.

Mniejszy klub to automatycznie mniejsze pieniądze otrzymywane z budżetu państwa na działalność klubu. Także na biura poselskie, które faktycznie są biurami partyjnymi. To mniejsze klubowe pomieszczenia w gmachu parlamentu przy Wiejskiej. Mniej czasu na wystąpienia reprezentantów klubu podczas debat. To mniej kierowniczych stanowisk w sejmowych komisjach, w stałych zagranicznych parlamentarnych delegacjach.

W ostatnią środę lipca Morawianie ogłosili powołanie klubu – acz marszałek Czarzasty na zmiany oganizacyjne kazał im czekać do września.

Na Wiejskiej plotkuje się, że atak Kurskiego na Morawieckiego miał na celu podgrzanie emocji morawian, aby wyszli z klubu trzaskając drzwiami. Ale Morawiecki wolał być stamtąd wyrzuconym, aby zyskać miano ofiary intrygantów i lizusów.

W końcu każdy pozostał przy swoim: Morawiecki twierdził, że on i jego ludzie zostali wyrzuceni; Kaczyński – że sami muszą odejść

Batyr na białym koniu

Rozłamu w PiS-ie nie komentuje prezydent Nawrocki. Teraz zajęty jest organizowaniem arcyważnych spotkań z młodzieżą. W sejmie krążą szyderstwa, że w Dużym Pałacu szykują stajnie. Bo prezydentowi marzy się wjazd na białym koniu na polską prawicową scenę polityczną. Łaskawa zgoda na objęcie patronatu nad paktem senackim: wspólną listą polskiej prawicy do izby wyższej. Aby odbić ją liberałom i lewicy. A także błogosławieństwo dla kilku wspólnych list polskiej prawicy do Sejmu RP. Rola politycznego mentora, do którego będą odwoływać się niezadowoleni z układu list wyborczych firmowanych przez poszczególnych partyjnych liderów. Arbitra pilnującego, aby konkurujące prawicowe ugrupowania nie dopuszczały się ostrych fauli podczas kampanii wyborczej.

Wszelkie sondaże przedwyborcze jednoznacznie wskazują, że PiS może dojść do władzy jedynie w prawicowej koalicji. A to oznacza, że prezes Kaczyński będzie tylko jednym z kilku partyjnych prezesów. Przestanie być wodzem prawicy. Chyba, zdecyduje się być w opozycji i nadal kierować swą partią. Mniejszą, ciasną, ale ciągle własną. Prezes Kaczyński już traktowany jest jak lame duck, czyli lider na wylocie, zwany w USA kulawą kaczką.

Polska prawica ma szansę rządzić jedynie, kiedy zjednoczy się od Morawieckiego po Brauna. Pytanie: czy to się jej uda, skoro jej politycy stale nie przestrzega pierwszego przykazania porucznika Arka „Nie mów niczego, czego nie będziemy mogli zapomnieć"?

PIOTR GADZINOWSKI



Rys. JANUARY

trzeba będzie ustalić w ramach konsultacji z pracownikami lub ich przedstawicielami, zgodnie z przepisami kodeksu pracy. To nowy, formalny element, którego nie można pominąć.

Przy pracach wykonywanych na otwartej przestrzeni wyżej wymienione obowiązki powstaną po przekroczeniu 25 st. C. Całkowity zakaz pracy wyznaczy 35 st. C w pomieszczeniach i 32 st. C dla pracujących na świeżym powietrzu.

Nowelizacja zmienia przepisy BHP, a nie sam kodeks pracy. To istotne z punktu widzenia obywateli pracujących w oparciu o umowę zlecenie. Ponieważ zleceniodawca odpowiada za stan BHP w miejscu, które wyznaczył do roboty, musi zapewnić tam odpowiednią temperaturę niezależnie od formy zatrudnienia ludzi.

Wszystko fajnie, ale czy do końca? Jest niestety kilka niedociągnięć. Diabeł tkwi w szczegółach, finansowych i organizacyjnych.

Korekta i do boju

Pierwszy minus to brak automatycznego prawa do bezpłatnych przerw. Pracodawca może skrócić czas pracy etatowcom bez obniżania pensji. Zleceniobiorca zarabia zwykle za wykonane zadanie lub przepracowane godziny. Jeśli słonko wykręci figla i praca zostanie wstrzymana, pracownik na śmieciówce dostanie figę z makiem, chyba że jakimś cudem inaczej zapisano w umowie. Ustawowa ochrona minimalnej stawki dla zleceniobiorców już istnieje, może zatem warto ją rozszerzyć o przepisy, które uregulują i tę kwestię.

Drugi problem to arbitralna granica „ciężkiej pracy fizycznej". Limit 32 st. C na zewnątrz dotyczy tylko srogiego zapierdolu mierzonego wydatkiem energetycznym organizmu w trakcie zmiany roboczej. Jest to kolejno 1500 kcal dla mężczyzn i 1000 dla kobiet. W praktyce kurierzy, listonosze czy uliczni handlarze mogą zostać uznani za niezbyt obciążonych i zmuszeni do zasuwania w wyższych temperaturach. Ponieważ ryzyko udaru cieplnego jest groźne przy każdej aktywności, przepisy dla pracy na zewnątrz powinny chronić wszystkich pracowników bez względu na rodzaj wykonywanej roboty.

W celu zapewnienia ochrony ciągłości opieki z limitów wyłączono żłobki, nie wyłączono natomiast szkół ani przedszkoli. Dzieci co prawda ubywa, ale wprowadzenie obowiązkowych standardów infrastruktury (np. tej nieekologicznej klimatyzacji) z funduszy celowych na pewno by nie zaszkodziło. Starzy nie będą się musieli wówczas martwić o opiekę nad smarkami, a opiekunki – o wylew. Jeśli w niedalekiej przyszłości będziemy zamieniać placówki edukacyjne w domy starców, z tej klimy skorzysta prawdopodobnie większość z nas.

I jeszcze jedno. Państwowa Inspekcja Pracy działa w trybie planowanym lub reaguje na skargi po wielu dniach. Inspektor, który przybędzie na kontrolę tydzień po fali upałów, nie udowodni pracodawcy, że w miniony wtorek w hali sprzedażowej było 38 st. C. Wprowadzenie obowiązku rejestracji temperatur w dziennikach parametrów stanowiskowych w branżach podwyższonego ryzyka na pewno by nie zaszkodziło. Przepisy powinny też precyzować, czym, gdzie i jak często pracodawca ma tę temperaturę mierzyć. Żeby się nie okazało, że powieszony przy wentylatorze termometr kupiony na chińskiej platformie pogrzebie nowe prawa pracowników.

Bez względu na to, co mówią denialiści klimatyczni, będzie coraz gorzej. Biznesowi płacącemu za stratami finansowymi wynikającymi z przymusowych przerw przypominamy, że zmniejszenie liczby wypadków (również śmiertelnych) spowodowanych zmęczeniem i spadkiem koncentracji w upale, jest warte każdych pieniędzy.

Pani minister, do dzieła!

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 931df08398



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Żołnierz, co bronił Polski

Trepowisko grzęsawisko – cd.

Karol Sz., szwej, którego w czerwcu sąd wojskowy w Lublinie uniewinnił z zarzutów przekroczenia uprawnień i narażenia innych na utratę zdrowia i życia, stanie przed nim ponownie („NIE”, nr 24/2026), bo prokuratura złożyła skuteczną apelację od wyroku. Sprawę będzie teraz rozpoznawać Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie.

Chodzi o sytuację z marca 2024 r. na granicy polsko-białoruskiej, kiedy to Karol Sz. strzelał na oślep do migrantów, a przy okazji o mało co nie pozabijał również będących w pobliżu innych mundurowych.

„W czasie biegu oskarżony (...) przyjmując za każdym razem postawę strzelecką, oddał łącznie 12 strzałów z broni służbowej wzdłuż drogi granicznej w kierunku znajdującej się na tej drodze grupy osób złożonej z migrantów, funkcjonariuszy SG i żołnierzy” – ustaliła w toku śledztwa prokuratura, precyzując, że z tego tuzina pocisków trzy rykoszetowały po uderzeniu w betonowy słup, a pozostałych dziewięć na szczęście przeszło mimo i nie wysłało do aniołków kilkoro Polaków i nie-Polaków. Jak pamiętamy, na ogłoszenie tego pierwszego, szczęśliwego dla niego wyroku

szwej stawił się w koszulce nazistowskiej kapeli Honor i potem palił w mediach głupa, że innej akurat nie miał pod ręką, a tak w ogóle ta koszulka to prezent.

Złożył też deklarację, że wojska ma w zasadzie dość, ale zaciągnięcia się do Legii Cudzoziemskiej przy tym nie wyklucza.

Oczywiście rozpadające się ostatnio widowiskowo PiS nie byłoby PiS-em, gdyby przy tej okazji nie uruchamiały się z dętymi komentarzami w socjalach jej najbardziej tęgie głowy. Do nich z pewnością należy Mariusz Błaszczak. „Polski żołnierz broni granicy. Sąd go uniewinnia, uznając, że wykonywał swoje obowiązki zgodnie z prawem. A co robi żurkowa prokuratura? Składa apelację i dalej ściga człowieka, który stał na straży bezpieczeństwa Polski” – grzmi na X wiceprezes PiS, w przeszłości szef resortu obrony, i straszy: „To jest bardzo niebezpieczny sygnał dla każdego funkcjonariusza i żołnierza: jeśli będziesz bronił granicy, możesz latami walczyć nie z agresorem, ale z własnym państwem. Polska potrzebuje państwa, które stoi za swoimi żołnierzami, a nie państwa, które po uniewinniającym wyroku szuka kolejnej okazji, by postawić ich na ławie oskarżonych. Żołnierze mają bronić Polski, a nie bać się prokuratury”.

Bisuje mu zaraz potem jak durny wicek w Ministerstwie Aktywów Państwowych za rządów PiS-u Jan Kanthak: „Coś niesamowitego… mimo sądowego uniewinnienia żurkowa prokuratura nadal chce prześladować polskiego żołnierza, który na służbie strzegł naszego bezpieczeństwa. Jak ma być normalnie?! Skoro mamy taki nienormalny rząd”. Jakby ten, podobno prawnik z wykształcenia, nie wiedział, że apelacja to normalny instrument w ręku śledczych, którzy nie zgadzają się z wyrokiem.

Zresztą przestańcie pieprzyć głupoty, panowie pisowcy. Obejrzyjcie sobie lepiej dla relaksu „Ludzi honoru” z Jackiem Nicholsonem, Tomem Cruise’em i Demi Moore w rolach głównych. Obraz amerykańskiej produkcji z 1992 r. Tam co prawda chodzi o tzw. falę, w wyniku której ginie żołnierz i wojsko próbuje nieskutecznie zatuszować sprawę. Ale nie zmienia to ogólnej konkluzji, że trepy nie powinny stać ponad prawem. Czego sobie i Czytelnikom „NIE” szczerze życzymy.

JMP

Husaria spod Żabki

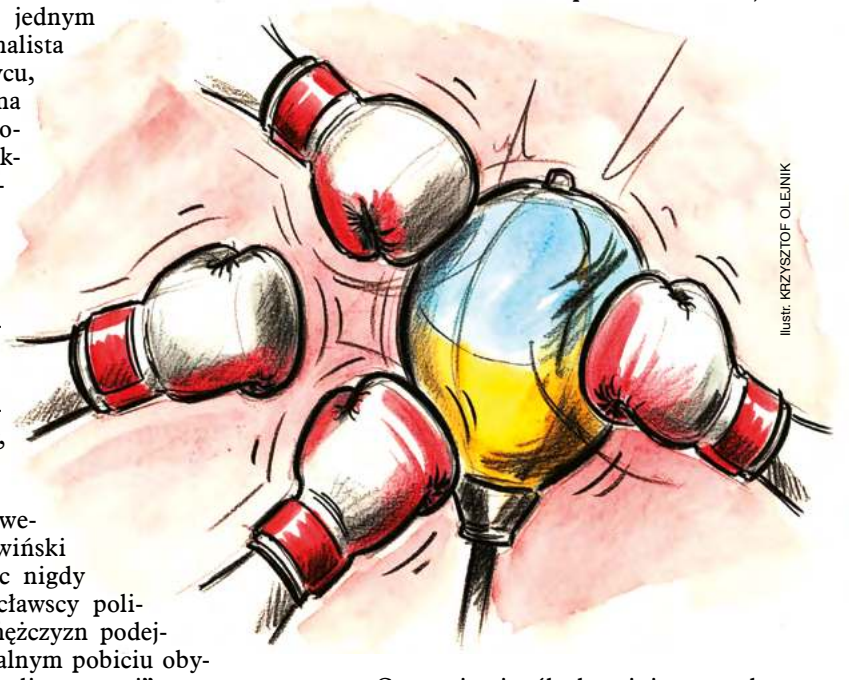
Atak na Ukraińców we Wrocławiu

W Polsce nie jest już bezpiecznie być Ukraińcem. A jeszcze mniej bezpieczne jest dla osób tej nacji zwrócenie w Żabce uwagi Polakowi, by nie wpierdalał się w kolejkę, zwłaszcza jak ten Polak jest zawodnikiem walk na gołe pięści i przyszedł z kolegą, pseudokibicem i zawodnikiem mieszanych sztuk walki. Nastia i Maksym przekonali się o tym w niedzielę 26 lipca we Wrocławiu przy ul. Okulickiego.

Generalnie nikt, kto jak 20-letnia Nastia spokojnie jedzie z chłopakiem do Żabki po bułkę, hot doga i coś do picia, nie spodziewa się, że zostanie pobity przez mięśniaków (lat 27 i 45), którzy motywowani byli nienawiścią do ich narodowości. Bo Polak w Polsce jest gospodarzem i nie zniesie „panoszenia się” obcych. Być może cała sprawa by została zamieciona pod dywan, ale w sieci pojawiły się dwa nagrania wideo – jedno autorstwa Nastii, drugie zaś przypadkowego świadka zdarzenia.

Na nagraniach widzimy, jak 21-letni Maksym obrywa od jednego polskiego „patrioty”, który następnie wali pięścią dziewczynę. Kiedy Nastia woła o pomoc, widzi obok parę z psem. Facet podbiega do dwóch mężczyzn okładających leżącego Ukraińca i… kopie go w głowę. Następnie wsiada do auta i odjeżdża.

Szybko okazuje się, że jednym z napastników był kryminalista Adam C., pseudonim Cycu, który stoczył dwie walki na galach Gromdy, federacji promującej krwawe walki bokserskie na gołe pięści, w których wygrać można tylko przez nokaut. „Cycu” co prawda obie walki przegrał, ale z Ukraińcami poszło mu dużo lepiej. Antyterroryści zwinęli go szybko, gdy próbował spierdolić z kraju. Widocznie był zwolennikiem hasła „Bóg, honor, obczyzna”…



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Szef resortu spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński napisał: „Brutalna przemoc nigdy nie będzie bezkarna. Wrocławscy policjanci zatrzymali dwóch mężczyzn podejrzewanych o udział w brutalnym pobiciu obywateli Ukrainy. Mężczyźni byli notowani”.

Gromda zapowiedziała dożywotnią dyskwalifikację „Cyca”, odcinając się od swojego byłego już zawodnika i potępiając jego zachowanie. To obłudne, bo w mediach społecznościowych Gromdy nie brak szowinistycznej i antyukraińskiej propagandy.

Można uznać, że Adam C. wypełniał tylko treścią slogany reklamowe kolejnej gali ze strony internetowej federacji: „Polacy to najwięksi, najtwardsi wojownicy na tej planecie i czas, żeby świat to zobaczył. Jesteśmy potomkami idei walecznych Spartan, ale w naszych żyłach płynie coś znacznie potężniejszego i bardziej mrocznego. To krew przodków Mieszka – którego córka twardą ręką rządziła Skandynawią jako potężna władczyni Wikingów. Mamy w sobie krew husarii i legendarną, szaloną odwagę walecznej Polski”.

Ogóle kluby sportów walki są wylęgarnią patologii, kryminalistów uczących życia młodych, nabuzowanych testosteronem ludzi marzących o walce w klatce przed kamerami którejś z licznych w naszym kraju federacji. Nie jest też polskim fenomenem, że takie kluby są nieraz wykorzystywane przez skrajnie prawicowe grupy do promowania rasizmu, np. niedawno niemieckie służby ostrzegały przed 22 Active Clubs, gdzie uczono walenia po mordzie i prawicowego ekstremizmu. Ciekawe, czy polskie służby mają oko na potencjalnie podobne zagrożenia u nas?

Najgorsze w tym wszystkim są niektóre komentarze w mediach społecznościowych, jeśli nie gloryfikujące sprawców, to jednak mówiące, że tu jest Polska i trzeba Ukraińcom pokazać ich miejsce w szeregu. Coraz więcej osób obnosi się z antyukraińskimi czy też w ogóle szowinistycznymi hasłami i są z nich dumne, wszak przykład idzie z góry.

Niezawodni w takich razach politycy Konfederacji albo siedzą cicho, albo winią ofiary, czego przykładem jest kuriozalny występ u Agnieszki Gozdyry z Polsatu posła Witolda Tumanowicza. Dzielny parlamentarzysta powiedział m.in.: „Pani redaktor też zna przypadki, kiedy to z kolei Ukraińcy pomogli, bądź też i zabijali Polaków, więc naprawdę to obustronne” i dodał: „to są właśnie sytuacje, których będzie jeszcze więcej, jeśli będziemy dopuszczać do masowej niekontrolowanej imigracji”.

W jednym ten tuman ma rację: takich sytuacji będzie jeszcze więcej. W dużej mierze przez takich jak on. Jedynie szybkie i surowe osądzenie sprawców agresji może ostudzić gorące od nacjonalizmu tępe łyse łby…

KAT



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Po 15 latach policja w Gdyni przymknęła 37-letniego Michała S. podejrzanego o gwałt i zabójstwo 13-latki w 2011 r. Przełom przyniósł nie tyle geniusz śledczych, co gadatliwość plemników. Dzięki genealogii genetycznej policja porównała spermę mordercy z nasieniem hipotetycznych krewnych i padło na Michała S. Domniemany sprawca ostatecznie pękł i przyznał się, przez co stał się faktycznym sprawcą. Policja zatem miała szczęście, bo bez takiego szczerego wyznania polskie sądy do dowodów z płynów ustrojowych podchodzą z rezerwą.

▮ Na warszawskim Targówku, przy ul. Krasnobrodzkiej, odbył się pokaz pirotechniczny połączony z nagłą utylizacją salonu samochodowego i warsztatu. Ogień zajął ok. 3,5 tys. mkw., co zmusiło do gimnastyki ponad 40 zastępów straży pożarnej. Pożar opanowano, ofiar w ludziach nie stwierdzono, a powietrze – o dziwo – nie stało się bardziej trujące niż to, którym Warszawiacy oddychają na co dzień. Przyczyny tego gorącego wydarzenia bada policja, a ja, patrząc na dymiące zgliszcza, nie mogę odpędzić od siebie pewnego szmoncesu. Otóż Mosze chwali się Ickowi: „Wiesz, ubezpieczyłem się właśnie od pożaru i gradobicia”. Na co Icek odpowiada z troską: „Mosze, pożar to ja rozumiem, ale powiedz mi, jak ty chcesz zrobić to gradobicie?”. Moje prywatne impresje nie mają oczywiście najmniejszego związku z tym, co stało się na Targówku.

▮ Pewien 37-letni obywatel Ukrainy postanowił sprawdzić czujność warszawskich służb, rzucając plecak na tory stacji metra Centrum. Efekt był imponujący: paraliż linii M1, ewakuacja setek pasażerów i pirotechnicy grzebiący w jego bieliźnie, bo w bagażu znaleziono jedynie rzeczy osobiste. Sprawca nie potrafił logicznie wyjaśnić swojego czynu. Policja nie była wyrozumiała. Incydent uznano za chuligański wybryk. Finałem przygody jest konwój na granicę i 10-letni zakaz oglądania strefy Schengen.

▮ Dwie obywatelki Izraela przyleciały z Tel Awiwu do Balic, taszcząc w czterech walizkach 100 kg khatu o wartości pół miliona zł. Khat to afrykańska sałata dla tych, którym nie wystarcza kawa, a na kokainę ich nie stać. Roślina ta, namiętnie żuta od Jemenu po Somalię, zawiera katynon – substancję, która sprawia, że człowiek czuje się rześki, radosny i przez chwilę zapomina, że żyje w nędzy. Zamiast radosnego handlu egzotycznym zielskiem panie w wieku 23 i 24 lat zafundowały sobie trzy miesiące w polskim areszcie, z perspektywą przedłużenia pobytu do lat 20. Uroczy przykład na to, że w Polsce nawet wegetarianizm może być karalny, jeśli tylko roślina ma odpowiednio wysoki potencjał rozrywkowy.

▮ 42-letni obywatel Ukrainy bawił się w gangstera w Kórniku pod Poznaniem. Zamaskowany, uzbrojony w pistolet hukowy i nóż, związał ochroniarza, po czym ukradł telefon, kluczyki do auta i sejf z blachy pancernej. Finał był żałosny: samochód porzucił, a sejfu, w którym spoczywało zawrotne 3200 zł, nie zdołał nawet otworzyć. Policja dopadła go po kilku godzinach. Za pokaz amatorszczyzny grozi mu do 20 lat więzienia. Czyli dopust boży. Gdyby ukradł batonik, to by go deportowali i straciłby życie na froncie. A tak straż graniczna nie będzie się go czepiać i perspektywa długoletniego darmowego wiktu też jest kusząca.

▮ Polska straż graniczna bije rekordy wydajności, ponieważ wykopała w pół roku ponad 5,5 tys. osób. Główny towar eksportowy to Gruzini i Kolumbijczycy – dla polskiego oka pewnie nieodróżnialni, bo tak samo śniadzi i w jego mniemaniu równie groźni.

▮ Warszawa wreszcie zagospodaruje legendarne „Szpiegowo” przy ul. Sobieskiego 100. W miejscu, gdzie niegdyś gnieździli się pracownicy ambasady ZSRR i Rosji, powstanie 180 mieszkań komunalnych. Przez lata ten kompleks mieszkaniowy straszył i fascynował, bo wyglądał jak Czarnobyl w samym sercu stolicy, co nadawało mu niepowtarzalnego, postapokaliptycznego uroku. Szkoda tej egzotyki. Przed całą tą ukraińską hecą można tam było wpaść, napić się Stolicznej i pogadać

eprasa.pl 931df08398

Za błędy urzędu odpowiada oczywiście obywatel

Kto daje i odbiera...

W polskim państwie zdziwienie pojawia się z zadziwiającą regularnością – bo jak to możliwe, że nic się nie zgadza, skoro wszystko się zgadzało? Sprawa z Podlasia, która ciągnie się już od kilku lat, ma w sobie coś z klasycznego polskiego absurdu instytucjonalnego. Nie ma tu bowiem spektakularnej kradzieży, nie ma wyprowadzonych milionów, nie ma sprytnie skonstruowanego mechanizmu wyłudzeń. Jest za to zwykły ludzki, urzędniczy błąd, tyle że o konsekwencjach liczonych w setkach tysięcy złotych i – co ważniejsze – w sytuacjach ludzi, którzy nagle dowiedzieli się, że mają oddać pieniądze, których nie ukradli. Bo nauczyciele z jednej z podlaskich gmin pracowali, dostawali wynagrodzenie, rozliczali się tak, jak im kazano, a po latach usłyszeli, że pieniądze, które dostali, były „nienależne".

Nachapany belfer

„To nie jest tak, że ktoś coś wziął świadomie" – mówi jedna z nauczycielek. „Myśmy dostawali pensje zgodnie z listami płac. Nikt nie przyszedł i nie powiedział: słuchajcie, tu jest błąd, nie bierzcie tych pieniędzy".

Afera dotyczy nadpłat, które w skali gminy sięgają setek tysięcy złotych. Pojedynczy nauczyciel ma do oddania od kilku do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Kwoty, które dla budżetu są statystycznym błędem, dla przeciętnego belfra stanowią równowartość kilkuletnich oszczędności. A kto się pomylił? Urzędnik. To w wyliczeniach dodatków i w interpretacji przepisów dotyczących wynagrodzeń nauczycieli pojawił się błąd. Przez lata wypłacano wynagrodzenia w wysokości, która – jak się później okazało – była zawyżona. Ale zamiast uznać, że skoro instytucja się pomyliła, to instytucja powinna ponieść konsekwencje, następuje próba przerzucenia odpowiedzialności na najsłabsze ogniwo systemu, czyli na ludzi.

„Nie możemy odpowiadać za błędy urzędników" – mówią nauczyciele. „To nie my ustalaliśmy stawki, nie my robiliśmy przelewy, nie my interpretowaliśmy przepisy". Jednak dla urzędników, skoro pieniądze zostały wypłacone „nienależnie", to – zgodnie z literalną interpretacją prawa – należy je zwrócić. Bez względu na to, czy odbiorca był świadomy błędu, czy działał w dobrej wierze i czy minęły lata, a pieniądze dawno zostały wydane na życie.

Wszystkie opowieści o publicznych pomyłkach mają jedną wspólną cechę: odpowiedzialność za nie zawsze idzie w dół. Nigdy w górę i nigdy do tych, którzy decyzje podejmowali. To system, który pozwala na wieloletnie błędy i jednocześnie bezwzględnie egzekwuje ich skutki od tych, którzy nie mieli na nie żadnego wpływu.

Nauczyciele próbują się bronić. Sprawy trafiają do sądów. Pojawiają się argumenty o dobrej wierze, o braku winy, o zaufaniu do państwa. Państwo zaś – nawet to najmniejsze, gminne – działa na fundamencie domniemania, że jego decyzje są wiążące i poprawne. Obywatel podporządkowuje się temu systemowi, bo zakłada, że ktoś po drugiej stronie wie, co robi. Jeśli okazuje się, że nie wie, a konsekwencje jego niewiedzy ponosi obywatel, to ten fundament zaczyna się kruszyć.

Dzieciata naciągaczka

Zakład Ubezpieczeń Społecznych wypłacał tysiącom kobiet z dziećmi szmalec nawet przez kilka lat, a teraz chce tę kasę z powrotem. Wyglądało to tak, że w 2021 r. lub na początku 2022 r. matka składała wniosek, ZUS analizował dokumenty, wydawał decyzję i rozpoczynał wypłaty. Pieniądze trafiały na konto co miesiąc – najczęściej w wysokości kilkuset złotych. W skali roku dawało to kilka tysięcy złotych. W wielu przypadkach wypłaty trwały nieprzerwanie przez 24, 30, a nawet 36 miesięcy, czyli do początku 2024 r. Bo wtedy zaczęły się kontrole skutkujące tym, że do kobiet poczęły trafiać pisma. ZUS wzywał w nich do zwrotu kasy. Kwot sięgających 20, 30, a nawet 40 tys. złotych.

Państwo przez dwa czy trzy lata mówiło: masz prawo do tych pieniędzy. Co miesiąc potwierdzało to przelewem. A po latach mówi: oddaj wszystko.

Kobiety, które dostały wezwania, planowały budżety na podstawie tych pieniędzy. Teraz jest konkretna kwota do zwrotu. Bo w tych wezwaniach nie ma miejsca na dyskusję o dobrej wierze. Nie ma znaczenia, że decyzja była prawomocna i że świadczenia były wypłacane przez długi czas bez żadnych zastrzeżeń. Liczy się tylko końcowy wniosek – świadczenie było nienależne.

ZUS argumentuje, że „to pieniądze wszystkich uczestników systemu", co w praktyce oznacza, że nie może ich po prostu umorzyć. Tyle że ta argumentacja pomija kluczowy fakt, iż to system te pieniądze wypłacił, mając pełną wiedzę i narzędzia do weryfikacji.

Wyłudzacz mieszkaniowy

Inna sprawa, która dziś wraca do podatników z urzędową pieczątką i odsetkami liczonymi co do dnia, obejmuje lata od 2019 do 2023 r., choć korzenie problemu sięgają momentu, gdy zaczęto szerzej stosować i interpretować przepisy dotyczące ulgi mieszkaniowej po zmianach w prawie podatkowym. To właśnie wtedy ustawodawca wydłużył okres, po którym sprzedaż nieruchomości nie podlega opodatkowaniu, z dwóch do pięciu lat, a jednocześnie utrzymał mechanizm ulgi pozwalającej uniknąć 19-procentowego podatku przy reinwestowaniu środków w cele mieszkaniowe.

Chodziło o to, że ktoś, kto kupił mieszkanie w 2018 r. i sprzedał je w 2020 czy 2021 r. – czyli przed upływem pięciu lat – mógł uniknąć podatku, jeśli pieniądze przeznaczył na własne cele mieszkaniowe w ciągu trzech lat od sprzedaży. I właśnie ten trzyletni okres jest jednym z kluczowych elementów, bo obejmuje transakcje podejmowane masowo w latach 2019–2022, a rozliczane jeszcze w 2023, a nawet 2024 r.

Tysiące ludzi podejmowało decyzje w oparciu o obowiązujące rozumienie przepisów. Obejmujące nie tylko zakup nowego mieszkania dla siebie, ale również spłatę kredytu hipotecznego, zakup lokalu dla dziecka czy inwestycje w nieruchomości, które miały służyć zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych rodziny. I państwo przez długi czas nie miało z tym problemu. Urzędy skarbowe przyjmowały takie rozliczenia. Interpretacje indywidualne wydawane przez Krajową Informację Skarbową potwierdzały, że te działania mieszczą się w ramach ulgi. Podatnicy składali deklaracje i sprawa była zamknięta. Do czasu jednak, bo w latach 2023–2025 rozpoczęła się fala weryfikacji tych rozliczeń. Fiskus wrócił do spraw sprzed dwóch, trzech, a nawet pięciu lat i zaczął je analizować według znacznie bardziej restrykcyjnej interpretacji przepisów. I nagle okazało się, że to, co jeszcze w 2020 czy 2021 r. było zgodne z ulgą, w 2024 czy 2025 r. już takie nie jest. To klasyczny przykład działania prawa wstecz, choć formalnie nikt tego wprost nie powie. Przepisy się nie zmieniły – zmieniła się ich interpretacja. A wraz z nią sytuacja tysięcy ludzi.



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Aferzysta klimatyczny

Historia ulgi termomodernizacyjnej, która miała być zachętą do modernizacji domów i walki ze smogiem, też zamieniła się w opowieść o tym, jak system potrafi wycofać się z własnych słów. Państwo przez lata mówiło: inwestujcie w poprawę efektywności energetycznej, a my wam część kosztów oddamy. Ulga wprowadzona w 2019 r. pozwalała odliczyć od podstawy opodatkowania nawet 53 tys. zł na podatnika. Oznaczało to zwrot kilku, kilkunastu tysięcy złotych. I ludzie kupowali pompy ciepła, docieplali ściany, wymieniali okna, instalowali fotowoltaikę, a przy okazji – co dziś okazuje się kluczowe – montowali klimatyzatory z funkcją grzania. „Klimatyzator z funkcją grzania spełnia definicję urządzenia poprawiającego efektywność energetyczną budynku" – takie interpretacje pojawiały się w indywidualnych stanowiskach fiskusa. Podatnicy, którzy pytali, dostawali odpowiedzi pozytywne. Ci, którzy nie pytali, kierowali się logiką i praktyką rynku. Bo urządzenie ogrzewało dom, zmniejszało zużycie energii i wpisywało się w ideę termomodernizacji.

I nagle skarbówka uznała, że klimatyzatory – nawet te z funkcją grzania – jednak do ulgi się nie kwalifikują. Interpretacja została odwrócona, a konsekwencje przerzucone na tych, którzy wcześniej państwu uwierzyli. Z dnia na dzień tysiące ludzi, którzy odliczyli od podatku wydatek na klimatyzator, dowiedziały się, że zrobiły źle. A skoro tak, to powinny kasę oddać, i to z odsetkami. W skrajnych przypadkach nawet 15–20 tys. zł.

Ci, którzy niczego nie ukradli, nie kombinowali, nie tworzyli fikcyjnych faktur, a zrobili dokładnie to, do czego państwo ich zachęcało, usłyszeli, że to był błąd. Nie ich, ale urzędnika. Tyle że to oni za ten błąd muszą zapłacić.

TOMASZ BOROWIECKI

---

po rosyjsku w całkiem przyjaznej atmosferze. Teraz zamiast bastionów KGB będziemy mieli przy Sobieskiego bastiony prozaicznych czynszówek.

▮ Media wpadły w histerię, bo polscy generałowie nie mówią po angielsku tak biegle, jak życzyłoby sobie NATO. Według danych MON co trzeci generał i aż dwie trzecie wyższych oficerów nie potrafią wydukać niczego sensownego na poziomie zawodowym. No cóż, wojsko powinno znać język przyjaciół i wrogów.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Anglosasi jako sprzymierzeńcy są równie wiarygodni co wierność luksusowej kurtyzany. Niby nas kochają, ale jak przyjdzie co do czego, to zostaniemy z ich „głębokim zaniepokojeniem" i słownikiem polsko-angielskim w garści.

▮ W Białostockim Centrum Onkologii odkryto, że medycyna to nie tylko powołanie, ale żyła złota, przy której bledną zyski handlarzy bronią. Jeden z tamtejszych lekarzy zarobił w 2024 r. blisko 3 mln zł, ustanawiając tym samym nowy rekord Polski w kategorii lekarskich kontraktów. 16 jego kolegów, zapewne mniej pracowitych, musiało zadowolić się ochłapami rzędu 1–1,5 mln zł. Przy takich stawkach Jerzy Owsiak i jego Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy wyglądają jak grupa naiwnych harcerzy zbierających na lody. Trudno oczekiwać, by uczciwi ludzie i pospolici frajerzy z entuzjazmem teraz karmili puszki Owsiaka. Wiedzą przecież doskonale, że w szpitalach trwa właśnie bezwstydna grabież w białych rękawiczkach. Owsiak może spokojnie iść na emeryturę. Jego puszki nie zasypią dziury, którą wyżarły apetyty stetoskopów w białych kitlach.

▮ Z oświadczeń majątkowych wynika, że prezydenci miast to przy swoich skarbnikach niemal wolontariusze. W Warszawie skarbnik samorządowy Marzanna Krajewska otrzymała 488,9 tys. zł rocznie, co sprawia, że Rafał Trzaskowski zarabiający o 263,4 tys. zł mniej wygląda przy niej jak ubogi krewny. W Łodzi Krzysztof Mączkowski zarobił 398,6 tys. zł, czyli o 115,2 tys. zł więcej od Hanny Zdanowskiej. Rekordy bije też Wrocław, gdzie skarbnik Marcin Urban – nazwisko budzące naturalny szacunek – osiągnął 386,8 tys. zł, zostawiając Jacka Sutryka w tyle o 107,2 tys. zł. Przekonanie, że księgowi rządzą światem, właśnie oficjalnie wkroczyło do polityki. Jeśli tak dalej pójdzie, to prezydenci będą musieli dorabiać na Uberze, żeby skarbnicy nie brali ich za żebraków.

▮ Marcin Łoboda, szef Krajowej Administracji Skarbowej, twierdzi, że mandaty mają „rolę edukacyjną". W Gdańsku ta edukacja kosztowała restauratora 2500 zł, bo skarbowy szpicel dopatrzył się krewetek na pizzy. Według fiskusa szynka to 8 proc. VAT, a krewetka to już luksusowa zbrodnia na 23 proc. Panie Łoboda, prawo nie może stać nad zdrowym rozsądkiem, ale w pańskim resorcie to postulat nierealny, bo przepisy skarbowe dawno już pożegnały się z rozumem.

▮ Ceny paliw mają tę urokliwą właściwość, że nie podnoszą się same. Zawsze stoi za tym czyjaś ręka. Obecnie jednak oficjalna wersja brzmi: to nie my, to natura i Arabowie. Analitycy, którzy analizują eskalację konfliktów na Bliskim Wschodzie, zagrożenia dla szlaków żeglugowych oraz sezon huraganowy w USA, twierdzą, że diesel ma przekroczyć barierę 8 zł za litr, a benzyna 95 będzie kosztować 7,50 zł. Jeśli sytuacja na świecie się nie uspokoi, olej napędowy może nas uraczyć ceną zbliżoną do 9 zł. Rząd umywa ręce i twierdzi, że to nie jego wina.

▮ Polska wreszcie zaczyna mądrzeć, choć robi to metodą czysto biologiczną. Niż demograficzny okazuje się zbawieniem dla samorządowych budżetów. Uczniów jest o blisko 700 tys. mniej niż kilkanaście lat temu, więc włodarze z nieskrywaną ulgą zamykają kosztowne przechowalnie dla nieletnich. Tylko na Mazowszu w pierwszej połowie 2026 r. złożono 30 wniosków o likwidację placówek oświatowych. Ba! Perspektywy są jeszcze bardziej obiecujące: według prognoz liczba dzieci w wieku od 7 do 14 lat ma spaść do 2034 r. o kolejne 19,5 proc. Podatnicy mogą wreszcie odetchnąć. Im mniej bachorów do użerania się z ortografią, tym mniej belfrów na państwowym garnuszku i więcej świętego spokoju. Naród co prawda znika, ale za to jak oszczędnie.

▮ Zakopane po raz kolejny udowadnia, że jest stolicą polskiego masochizmu finansowego. Średnio prawie 35 tys. zł za metr kwadratowy nowego mieszkania to cena najwyższa w Polsce. Kupowanie apartamentu pod Tatrami to nie inwestycja – to diagnoza psychiatryczna. Płacenie fortuny za przywilej stania w korku na Zakopiance i oglądania reklam termobielizny świadczy o tym, że polska klasa posiadająca ma portfele znacznie grubsze od pokładów zdrowego rozsądku.

RJ

PS Powyższe informacje pochodzą z prasy gminnej i innych źródeł, które z prawdą utrzymują stosunki towarzyskie, lecz niekoniecznie stałe. Za ewentualne konfabulacje przepraszamy w imieniu własnym oraz kolegów z terenu, nie biorąc za nie żadnej odpowiedzialności.

eprasa.pl 931df08398

Szokujący raport o polskich nauczycielach



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Obyś cudze dzieci uczył

Jeszcze jeden wpierdol i wakacje – brzmiały anegdotyczne słowa ucznia, który nie zdał do następnej klasy. Wyniki niedawno ogłoszonego „Ogólnopolskiego badania na temat ryzyka psychologicznego i stresu w zawodzie nauczyciela", stworzonego pod egidą ZNP przez zespół stołecznych naukowczyń kierowanych przez prof. Małgorzatę Żytkę, skłaniają ku refleksji, że symboliczny wpierdol nauczyciele otrzymują na co dzień.

Razy spadają na kobiety – pamiętajmy o feminizacji profesji nauczycielskiej – z różnych stron. Co ciekawe, stosunkowo najmniej od krnąbrnych uczniów; częściej od dyrekcji szkół, polityków, złośliwych koleżanek z pracy czy roszczeniowych rodziców małolatów. Wszystkim im zdaje się, że na karkach statystycznie coraz starszych nauczycielek znajduje się celownik i dowcipny napis znany ze zderzaków samochodów: wal śmiało, jestem niezniszczalna!

Badaniem objęto prawie 1800 pracowników oświaty, z których aż 82 proc. to kobiety. Raport liczy 102 strony i jest wszechstronny, wyważony i bardzo niepokojący. Niepokojący, bo większość respondentów to osoby, które zjadły zęby na uczeniu dzieci i młodzieży: ponad 62 proc. ankietowanych jest w branży ponad 15 lat. Nie są to zatem impresje świeżaków.

Nerwowa atmosfera

Dokładnie co drugi nauczyciel doświadcza wysokiego, a nawet bardzo wysokiego poziomu stresu. Nauczyciele są na pierwszej linii frontu, co pokazuje jedna z wypowiedzi: „Stres przeżywam codziennie. Myślę zresztą, że wszyscy nauczyciele przeżywają go każdego dnia. Nauczyliśmy się już jednak tego nie dostrzegać, bo to stało się kwestią przyzwyczajenia. Praca w szkole nie przypomina zawodu bibliotekarza czy programisty; my pracujemy na żywym materiale – z dziećmi i młodzieżą – więc nigdy nie wiadomo, co nas danego dnia spotka".

Kiedy sami wspomnimy nasze czasy szkolne, dziwne pomysły, które nam nieraz przychodziły do głowy w szkole, to jasny jest kontekst powyższych słów. Dodajmy, że generalnie w szkole przerwa jest dla uczniów, a nie dla nauczycieli: „Hałas jest oczywiście bardzo trudny, przebodźcowanie bywa potężne. (…) nie mamy momentu, żeby spokojnie usiąść w pokoju nauczycielskim i wypić kawę. Ten brak chwili dla siebie jest bardzo obciążający".

Nie powinno zatem dziwić, że aż 60 proc. nauczycieli cierpi na dolegliwości somatyczne – bezsenność, przewlekłe bóle czy wyczerpanie. Mówiąc wprost: jadą na rezerwie. Skutkiem tego jest, że aż 72 proc. respondentów nie potrafi jednoznacznie zadeklarować, że zostanie w zawodzie, a już co czwarty nauczyciel podejmuje aktywne kroki, aby odejść z oświaty.

Jak stwierdzają autorki raportu, „najsilniej z planami odejścia wiążą się obciążenia organizacyjne i systemowe. Oznacza to, że ryzyko odpływu nauczycieli rośnie szczególnie tam, gdzie codzienna praca jest chaotyczna, przeciążona administracyjnie, słabo zorganizowana i osadzona w niestabilnych warunkach systemowych".

Badanie wykazało, że największymi barierami dobrostanu nauczycielskiego są niskie wynagrodzenia (konieczność pracy na kilku etatach), chaos legislacyjny i ciągłe zmiany przepisów, wdrażanie kolejnych reform bez ich przygotowania, biurokracja, a także – to znak czasów – brak ochrony prawnej: „poczucie osamotnienia w starciu z roszczeniowymi postawami i hejtem w mediach społecznościowych".

Cyfryzacja oświaty, z której dumni są kolejni szefowie resortu edukacji, jest przekleństwem nauczycieli. Nieszczęsne e-dzienniki i grupy na komunikatorach to prawdziwa e-smyczdla nauczycieli, od których rodzice oczekują usług w świątek, piątek i niedzielę. A niekiedy je chamsko wymuszają.

Raport nie poprzestaje na diagnozie – pojawiają się w nim nader rozsądne rekomendacje, skierowane do MEN-u, samorządów (organów prowadzących szkoły) i dyrektorów szkół. Idzie m.in. o tak podstawowe kwestie jak stabilizacja, powiązanie wymagań z zasobami (mierzmy zamiary na siły, nie odwrotnie), odciążenie biurokratyczne, programy wsparcia, ochrona czasu wolnego.

Ostateczne rozwiązanie

Kiedy wczytywałam się w kolejne strony raportu, w uszach dzwoniły mi nieodmiennie słowa sławetnego tekstu piosenki „Czas się wieszać", smętnie wykrzykiwane przez bardzo niepedagogicznego rapera Cypisa:

„Zaczynam się męczyć – czas się wieszać.
Znajomi ostrzegali, mówili: nie przesadź,
A ja nie wyrabiam i czas się wieszać.
Wstaję rano, łeb zaczyna się zawieszać,
Boję się poranków, czas się wieszać".

Na szczęście polscy nauczyciele są zbyt sterani życiem i użeraniem się z nieprzyjaznym systemem, aby targnąć się na własne życie. Nauczycielki odchodzą po cichu – starsze na emeryturę, młodsze do innej roboty. Osobie po studiach kariera nauczycielska jawi się jako równie atrakcyjna co skok na bungee bez liny. Kasa marna, obowiązków od chuja i trochę, szykany z każdej strony, ciągłe reformy – a raczej deformy, prestiż praktycznie żaden.

Odpowiedzią szefowej resortu edukacji Barbary Nowackiej jest strategia znana z piosenki z filmu z Panem Kleksem: „cała naprzód ku nowej przygodzie, taka gratka nie zdarza się co dzień!". Czyli kolejne nieprzemyślane zmiany w funkcjonowaniu szkół i nauczycieli, tym razem nazwane „Reforma26: Kompas Jutra". Pod szczytnymi hasłami kryje się w niej większa biurokratyzacja i niewiele więcej.

W liście na zakończenie roku szkolnego Nowacka chwaliła się, że jej ludzie rozmawiają z dyrektorami, nauczycielami i rodzicami – a z kim, kurwa mać, mieliby się spotykać, z biskupami lub złomiarzami? – dzięki czemu bachory w szkole mają nie używać komórek, z wyjątkiem tych szarych, rzecz jasna. Z dumą podkreślała zakupy elektroniki dla szkół, a także fakt, że pół miliona uczniów wzięło udział w programie „Edukacja z wojskiem". Cieszyła się ze „zaktualizowania podstaw programowych, wygaszenia zawodów niedostosowanych do potrzeb krajowej gospodarki oraz wprowadzenia 11 nowych profesji".

W kamasze!

W liście znalazł się też niezamierzony element humorystyczny, kiedy ministra zwróciła się bezpośrednio do nauczycieli: „Prawdziwą siłą do zmian w polskiej szkole jest Państwa nieustanne zaangażowanie we wszechstronny rozwój podopiecznych, a także uczniów i uczennic". Nowacka podziękowała nauczycielom za „cierpliwość, wyrozumiałość i profesjonalizm" oraz „nieustanne wspieranie uczniów w odkrywaniu ich talentów". Życzyła „zasłużonego odpoczynku", „regeneracji, inspiracji i dobrych spotkań, które dodadzą energii na kolejny rok pracy". W przypadku ministry zasłużony odpoczynek oznaczałby odspawanie od stołka.

Fakt, że odpowiedzialność za edukację powierza się osobom formatu i lotności Nowackiej, jednoznacznie wskazuje, że realnym celem rządzących jest wykształcenie durnych dorosłych niekwestionujących rzeczywistości wokół siebie, a zatem nieczujących potrzeby, aby ją zmienić na lepsze.

Raport ZNP powinien być alarmem dla całej klasy politycznej i mediów, lecz one były zajęte lodami za czerwone paski czy świadectwami dzieci polityków. Nie dziwota, że w tych okolicznościach przyrody nie było czasu zająć się bolączkami szkoły. Czekamy, aż rządzący uznają, że warto nauczycielki przekwalifikować w żołnierki – w końcu o dobrostan wojskowych troszczą się wespół politycy wszystkich opcji, przedkładający gotowość do zabijania innych ludzi nad gotowość do ich nauczania…

ZUZANNA JURCZYŃSKA

Patologia z koncesją

Telewizyjna patostreamerka

Jakąś dekadę temu napisałem w nieistniejącym już tygodniku felieton o Danielu Magicalu. Były to złote czasy polskiego patostreamingu: Daniel pił, wrzeszczał, urządzał domowe awantury, a widownia płaciła mu za kolejne upokorzenia. Bohater przeczytał mój tekst podczas transmisji, po czym napuścił na mnie swoich wyznawców. Miał mnie również podać do sądu. Widocznie między jedną libacją a drugą zapomniał, bo pozew nigdy nie dotarł. Być może donejty nie pokryły wpisu sądowego.

Nie przypuszczałem wówczas, że po latach przyjdzie mi Daniela bronić. Nie dlatego, że dojrzałem w nim prześladowanego artystę, którego należy umieścić między Grotowskim a Kantorem. Daniel Magical nadal jest Danielem Magicalem. Zmieniło się państwo, które postanowiło zakazać patologii, ale tylko tej nadawanej przez ludzi bez koncesji telewizyjnej.

Sejm uchwalił zakaz patostreamingu większością 419 głosów, senat nie wniósł poprawek, a prezydent ustawę podpisał. Za rozpowszechnianie w internecie materiałów pokazujących przestępstwa godzące w człowieka, znęcanie się nad zwierzętami albo poniżające traktowanie innej osoby będzie można dostać do trzech lat więzienia. Jeżeli w materiale wystąpi nieletni, nawet pięć. Karane ma być także inscenizowanie takich zdarzeń i przedstawianie ich jako prawdziwych. Ustawodawca przewidział jednak wyjątki dla działalności artystycznej, edukacyjnej, prasowej, naukowej oraz podejmowanej w interesie publicznym.

Jest w tym zresztą wyjątkowa bezczelność, ponieważ właśnie Polsat News przedstawiał uchwalenie zakazu jako sukces swojej akcji „Nie dla patocelebrytów". Stacja chwaliła się, że to jej reportaże i publikacje popchnęły sejm do działania. Najpierw więc Polsat pomógł ustalić, jaka patologia powinna być karana, a następnie odesłał widzów do Polsat Play, gdzie mogą oglądać patologię prawidłowo wyprodukowaną, oprawioną muzyką i poprzedzielaną reklamami.

W Polsat Play emitowany jest bowiem serial „Zawód: Glina" reklamowany jako „prawdziwa codzienność polskiej policji" pokazana bez filmowych upiększeń. Kamera jeździ z funkcjonariuszami, zagląda ludziom do mieszkań, rejestruje awantury, zatrzymania, pijanych, przestraszonych i upokorzonych. Człowiek znajduje się w najgorszej chwili swojego życia, policjant zakłada mu kajdanki, a widz dostaje reklamę proszku do prania. Program powstaje we współpracy z Komendą Główną Policji, wszystko jest więc społecznie użyteczne i pachnie służbą publiczną. Nowe przepisy mu nie zagrożą, bo działalność prasowa została wyłączona spod karalności. I właśnie na tym polega dowcip: sceny ludzkiego upokorzenia pozostają scenami ludzkiego upokorzenia, lecz przepuszczone przez telewizyjny montaż i opatrzone komentarzem o trudach policyjnej służby awansują na dokument. Polsat ma producenta, lektora i błogosławieństwo Komendy Głównej Policji. Daniel miał matkę, alkohol i kamerkę.



Rys. WIDGET

Telewizja od lat żyje z nieszczęścia i biedy. „Chłopaki do wzięcia" przerabiają samotność oraz społeczne wykluczenie na wesoły gabinet osobliwości. Programy w rodzaju „Dam i wieśniaczek" robią rozrywkę z pogardy klasowej, a paradokumenty inscenizują zdrady, pobicia, alkoholizm i przemoc domową. Wszystko to wolno, ponieważ ktoś napisał scenariusz, charakteryzatorka przypudrowała siniak, a reżyser przed nagraniem krzyknął „akcja". Nawet prawdziwą przemoc można pokazywać w nieskończoność, jeżeli prowadzący program informacyjny zrobi przy tym dostatecznie smutną minę.

Różnica nie leży więc w treści, lecz w pozycji nadawcy. Patostreamer ma konto do wpłat, stacja telewizyjna ma koncesję, prawników i zaprzyjaźnionych polityków. Jeden zarabia na poniżeniu człowieka, druga monetyzuje format. Donejt nazywa się w niej blokiem reklamowym, a budowanie zasięgów – walką o oglądalność. Patologia nie znika.

Oczywiście należy karać pobicia, znęcanie się, wykorzystywanie osób nieporadnych i przemoc wobec zwierząt. Należy odbierać pieniądze zarobione na krzywdzie, utrudniać dzieciom dostęp do takich materiałów i ścigać platformy, które zarabiają na ich promowaniu. Tyle że przestępstwo nie staje się bardziej przestępcze dlatego, że sfilmowano je telefonem zamiast kamerą telewizyjną.

Jeżeli problemem jest rozpowszechnianie poniżenia dla zysku, prawo powinno obejmować każdego, niezależnie od tego, czy pieniądze nazywają się donejtem, abonamentem czy wpływami z reklam.

Daniel Magical powinien odpowiadać za to, co robił ludziom, nie za to, że nie zatrudnił producenta wykonawczego. Dziś nawet trochę mu współczuję. Człowiek przez lata własnym życiem budował polski patostreaming, a kiedy telewizje przejęły jego model biznesowy, państwo zdelegalizowało ich konkurencję.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 931df08398

Trująca konsekwencja

Nieczęsto tak niewielu dostaje tak wiele na coś, co nie ma sensu

Budowanie nowej marki samochodów jest mniej więcej tak prostym przedsięwzięciem jak zakładanie od zera nowej Coca-Coli. Oczywiście można to zrobić, pytanie tylko po co, skoro świat pełny jest producentów wydających miliardy euro na to, żeby przekonać klientów do własnego znaczka na masce. Polska tymczasem od lat wraca do pomysłu stworzenia własnego elektrycznego auta. I za każdym razem politycy zachowują się tak, jakby wystarczyło narysować atrakcyjne nadwozie, postawić fabrykę i już po chwili Europejczycy będą ustawiali się w kolejkach po samochód, o którym nigdy wcześniej nie słyszeli.

Pod prąd

Dane Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów ACEA są dla takich pomysłów brutalne. Polska jest krajem, który w maju zanotował największy w całej Europie spadek rejestracji samochodów elektrycznych. Zarejestrowano u nas zaledwie 2015 nowych samochodów z napędem wyłącznie elektrycznym, o 803 mniej niż przed rokiem. Spadek sięgnął 28,5 proc.

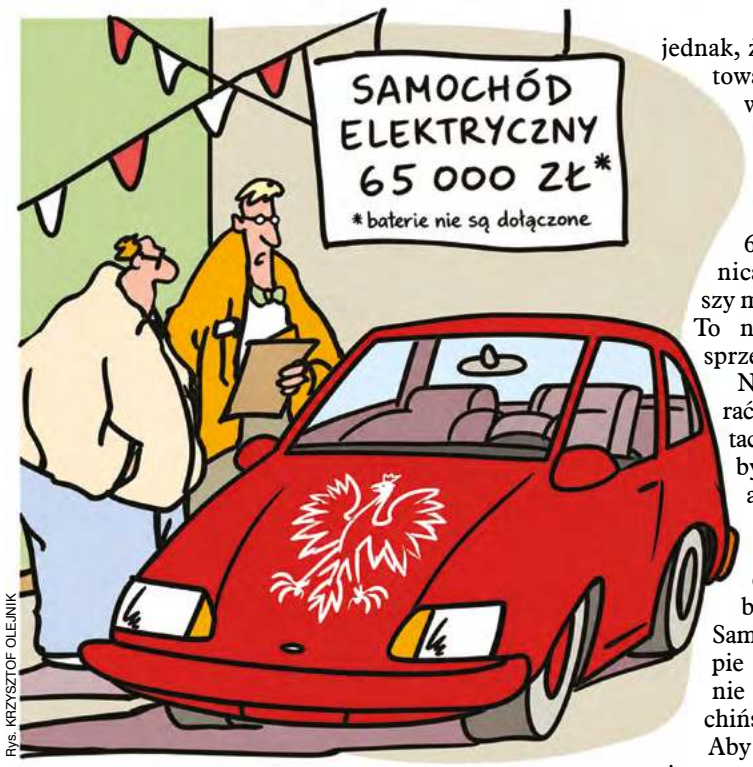
Jeszcze bardziej wymowny jest udział elektryków w całym rynku nowych aut. Na sto nowych samochodów kupowanych przez Polaków tylko cztery mają napęd wyłącznie elektryczny. Gorzej wypada jedynie Chorwacja z wynikiem 3,4 proc. Trudno więc mówić o kraju, który miałby być naturalnym zapleczem dla nowej marki elektrycznej. Jeżeli własny rynek nie chce takich samochodów, to na czym właściwie ma się oprzeć biznesplan?

Odpowiedź brzmi zwykle: na eksporcie. Tylko że eksport wymaga klientów. A klienci kupują marki, które znają. Nowa polska marka musiałaby wejść dokładnie na ten sam rynek, na którym Tesla walczy z chińskim BYD, a do tego coraz śmielej wchodzą producenci z Państwa Środka dysponujący ogromnym doświadczeniem w produkcji akumulatorów i kosztami nieosiągalnymi dla europejskich fabryk. Nowa marka z kraju, w którym nie kupuje się elektryków, miałaby przekonać do siebie Niemców – to tak, jakby producent zegarków z państwa, w którym nikt nie nosi zegarka, postanowił podbić Szwajcarię.

Zwolennicy polskiego elektryka odpowiedzą zapewne, że przecież każda marka kiedyś zaczynała od zera. To prawda. Tylko że Volkswagen zaczynał w czasach, gdy rynek samochodowy dopiero się rodził. Toyota budowała swoją pozycję przez dziesięciolecia. Chiński BYD zanim zaczął podbijać Europę, został jednym z największych producentów akumulatorów na świecie i zdobył gigantyczny rynek krajowy liczący setki milionów klientów. Polska nie ma ani ogromnego rynku wewnętrznego, ani własnej technologii akumulatorowej dominującej na świecie, ani globalnej sieci sprzedaży.

Brnięcie

Poprzednia władza wymyśliła Izerę. Obecna uznała, że pomysł poprzedniej władzy był głupi, więc postanowiła kontynuować go pod inną nazwą, z innym partnerem i za jeszcze większe pieniądze. Po PiS-ie mówi się, że Izery nie będzie, ale za to powstanie coś znacznie lepszego, bo nie będzie się nazywało Izera.



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wymyślona w zamian nazwa nie była może drugim Mercedesem, ale przynajmniej ludzie by wiedzieli, że chodzi o polski samochód elektryczny. Pojawił się Polon. Nazwa miała ponoć nawiązywać jednocześnie do Poloneza oraz pierwiastka odkrytego przez Marię Skłodowską-Curie, co w zamyśle miało być zapewne patriotyczną syntezą historii polskiej motoryzacji z historią polskiej nauki. Tyle że polon jest pierwiastkiem rakotwórczym, silnie promieniotwórczym i w masowej pamięci nie kojarzy się z noblistką, lecz z Aleksandrem Litwinienką, rosyjskim dysydentem otrutym w Londynie polonem-210. Wchodząca na rynek marka samochodowa miała więc dostać nazwę substancji użytej do zamordowania człowieka.

Nawet minister aktywów państwowych Wojciech Balczun zorientował się, że promieniotwórczy samochód może nie być tym, czego oczekuje europejski konsument. Dlatego powiedział: „Proszę nie używać tej nazwy, bo tej nazwy nie ma". I faktycznie: Polonu nie ma, samochodu nie ma, fabryki nie ma i ceny też nie ma. Są tylko pieniądze, bo ElectroMobility Poland dostało 4,5 mld zł z KPO. Za tę kwotę można by kupić mniej więcej 69 tys. samochodów po mitycznej cenie 65 tys. zł za sztukę i rozdać je Polakom. Państwo woli jednak przeznaczyć pieniądze na stworzenie samochodu, który według sieciowych opowieści właśnie tyle ma kosztować. Problem w tym, że nie będzie.

Kwota 65 tys. zł wzięła się z wyliczeń internetowych. Sami autorzy kalkulacji nie twierdzili jednak, że samochód tyle będzie kosztował. Uznali jedynie, że tyle powinien kosztować, żeby nieznana marka mogła konkurować z istniejącymi producentami. Małe auto miejskie musiałoby zmieścić się w przedziale 65–75 tys. zł, kompakt w granicach 85–100 tys. zł, a największy model – w cenie 115–150 tys. zł. To nie był przewidywany koszt sprzedaży, lecz lista życzeń.

Nowy projekt ma się wszak opierać na europejskich komponentach. Nawet 70 proc. części miałoby pochodzić z Unii Europejskiej, a europejskie części kosztują po europejsku. Europejska energia również. Europejscy pracownicy też nie zarabiają tyle, co robotnicy w chińskich fabrykach. Samochód produkowany w Europie z europejskich podzespołów nie może zatem kosztować tyle, ile chińskie auto kosztuje w Chinach.

Aby było jeszcze weselej, poprzednim partnerem technologicznym pisowskiej Izery mieli być Chińczycy. Mieli przekazać nam technologię, a niespecjalnie chcieli dzielić się wiedzą i szło ku temu, że w Jaworznie powstanie montownia chińskich samochodów za polskie miliardy. No to Chińczyków zastąpiono Tajwańczykami, czyli innymi Chińczykami. Teraz partnerem jest Foxconn, gigant zatrudniający 900 tys. osób w 24 krajach i osiągający ponad 250 mld dol. rocznego przychodu. Firma znana jest przede wszystkim z produkowania elektroniki dla światowych koncernów, m.in. Apple. Pytanie tylko, czy z umiejętności skręcania iPhone'ów automatycznie wynika zdolność do stworzenia europejskiej marki samochodowej?

Pamiętacie czebole?

Od 2020 r. Foxconn rozwija motoryzacyjną spółkę Foxtron Vehicle Technologies. Współpraca z EMP ma być dla Tajwańczyków bramą do Europy, dla nas zaś – bramą do technologii. Obie strony obiecują więc sobie wzajemnie to, czego nie mają. Ale żeby była jasność: Tajwan nie jest technologiczną pustynią, lecz światową potęgą półprzewodnikową, elektroniczną i przemysłową. Foxconn zaś to rzeczywisty gigant produkcyjny. Tyle że na europejskim rynku motoryzacyjnym klient nie kupuje wielkości przychodów producenta elektroniki, ale samochód i markę. O autach Foxtrona przeciętny Polak, Niemiec, Francuz czy Włoch nie wie nic. Nie wie nawet, czy za 10 lat marka będzie istnieć. I właśnie z takim partnerem

Polska ma stworzyć markę, która będzie musiała przekonać europejskich klientów, że lepiej wydać pieniądze na nią niż na Volkswagena, Renault, Teslę albo jednego z kilkudziesięciu producentów chińskich.

Chińskie marki nie wchodzą do Europy pojedynczo i nieśmiało. Wchodzą całymi stadami. BYD, MG, Nio, Xpeng, Leapmotor, Zeekr, Omoda, Jaecoo, Chery, Dongfeng, Voyah, Hongqi i kolejne firmy dysponują gigantycznym zapleczem własnego rynku, dostępem do akumulatorów, rozwiniętymi łańcuchami dostaw i kosztami, z którymi europejscy producenci już dziś mają kłopot. Część z tych marek także jest dla klientów nowa. Tylko że za nimi stoją setki tysięcy albo miliony wyprodukowanych samochodów, wielkie koncerny oraz państwo, które uczyniło elektromobilność elementem przemysłowej wojny z Zachodem. Polska zamierza do tego peletonu dołączyć z EMP – spółką, która zatrudnia nieco ponad 70 osób. Ale już zapowiedziała przyjęcie 50 nowych pracowników. A jeszcze w marcu 2025 r. spółka miała zwolnić około 40 proc. załogi, czyli mniej więcej 40 osób z zespołu liczącego 100–110 pracowników.

Bo plany są monumentalne. Produkcja ma ruszyć w 2029 r. Do 2035 r. fabryka ma zatrudniać blisko 4 tys. osób, a kolejnych 20 tys. miejsc pracy ma powstać u dostawców. Docelowa produkcja ma sięgać około 100 tys. aut rocznie, co oznacza, że polski elektryk będzie musiał zostać wyeksportowany na Zachód. Tam zaś przywita go klient, który nigdy o nim nie słyszał, oraz dealer próbujący odpowiedzieć na pytanie, dlaczego należy kupić polsko-tajwańskie auto, skoro obok stoi znana marka w podobnej cenie.

Polska produkuje auta od lat i robi to dobrze. Tyle że montowanie wozów uznanych koncernów w oparciu o ich konstrukcję, logistykę, technologię, dystrybucję i markę jest czymś zupełnie innym niż stworzenie od zera producenta mającego sprzedawać 100 tys. samochodów rocznie. Bo zdolność do pieczenia znakomitych bułek nie oznacza jeszcze, że piekarz potrafi stworzyć globalną sieć restauracji. Tym bardziej wtedy, gdy zamierza wejść na rynek w chwili, gdy konkurenci rozdają już swoje kupony rabatowe pod jego przyszłym lokalem.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie W DOBROBYCIE

● Pracownik banku idzie rano do pracy z prostym założeniem: ma sprzedawać kredyty, zakładać lokaty, obsługiwać klientów, rozwiązywać ich problemy i pilnować, żeby instytucja zarabiała. Im lepiej wykonuje swoje obowiązki, tym lepszy powinien być wynik finansowy firmy. Ale kiedy bank ma setki milionów złotych zysku, pracownik zamiast premii dostaje wypowiedzenie. Tak jak w VeloBanku. Grupa zakończyła 2025 r. z zyskiem wynoszącym 523,5 mln zł. Rok wcześniej było to nieco ponad 380 mln zł, co oznacza wzrost o blisko 38 proc. Trudno więc mówić o instytucji stojącej nad finansową przepaścią. Ale kilka miesięcy później VeloBank poinformował o rozpoczęciu zwolnień grupowych obejmujących niemal 1000 osób. Redukcja ma objąć zarówno pracowników przejętych z detalicznej części Citi Handlowego, jak i osoby zatrudnione wcześniej w samym VeloBanku. A pracy po przejęciu detalicznej części Citi Handlowego nie brakowało. Do VeloBanku przeszło ok. 1,6 tys. pracowników, ok. 500 tys. klientów, blisko 2 mln produktów bankowych, portfel kredytowy przekraczający 6 mld zł oraz depozyty warte ok. 21–22 mld zł. Integracja oznaczała miesiące dodatkowej pracy dla pracowników oddziałów, infolinii, zaplecza operacyjnego, informatyków, specjalistów od ryzyka, księgowości i administracji. Ludzie zrobili jednak swoje i już są niepotrzebni. Co w tym samym czasie dzieje się na najwyższych piętrach bankowej hierarchii? Regulacje banku przewidują możliwość przyznawania im wynagrodzenia zmiennego sięgającego nawet 100 proc. rocznego wynagrodzenia stałego. Trudno więc powiedzieć, że kierownictwo banku nie uczestniczy w podziale efektów finansowych przedsiębiorstwa. Zwykły pracownik uczestniczy w nim inaczej i jeżeli znajdzie się na liście restrukturyzacyjnej, jego udział w sukcesie banku kończy się wypowiedzeniem.

● Problem polskiej ochrony zdrowia nie polega wyłącznie na tym, ile zarabiają lekarze, lecz na tym, że cały system nauczył się żyć z kombinowania. Jedni kombinują z kontraktami, drudzy – z kolejkami, kolejni – z sanatoriami, refundacją, dodatkowymi opłatami, a na końcu zostaje pacjent, który coraz częściej ma wrażenie, że jedyną osobą niepotrafiącą niczego w tym ugrać, jest właśnie on. Przez lata wyjazd do sanatorium był dla wielu chorych czymś w rodzaju nagrody za cierpliwość. Czekało się długo, ale wierzyło, że jedzie się odpocząć i podreperować zdrowie. Dziś okazuje się, że najważniejszym zabiegiem rehabilitacyjnym jest próba odzyskania pieniędzy wydanych na wszystkie dopłaty, których wcześniej nikt nie wymienił. I nic to, że pokoje w uzdrowiskach pamiętają poprzedni ustrój, grzyb rośnie pod prysznicem, łazienki są wspólne dla kilkunastu osób, po sanatoryjnym jedzeniu człowiek wychodzi z turnusu lżejszy o kilka kilo, a zabiegi trwają jedną trzecią czasu przewidzianego w rozpisce. Najbardziej bowiem zdumiewające jest to, jak wiele rzeczy udało się zamienić w dodatkowe źródło przychodów. Telewizor kosztuje kilkadziesiąt złotych, lodówka kolejne, czajnik następne. W jednym z ośrodków ugotowanie wody w wysłużonym czajniku kosztuje 10 zł. Gdzie indziej płaci się za koc, za szlafrok, za wymianę ręczników albo za dostęp do internetu. Formalnie wszystko jest zgodne z regulaminem. Ale kiedy pacjenci zaczęli masowo rezygnować z takich wyjazdów, system, zamiast zastanowić się nad przyczynami, zaczął zastanawiać się nad karami. Narodowy Fundusz Zdrowia podał, że w 2025 r. odnotowano rekordowe 134 031 rezygnacji z leczenia uzdrowiskowego. Rok wcześniej było ich 127 055. W efekcie pojawiły się propozycje obowiązkowego potwierdzania przyjazdu, tworzenia list rezerwowych, a nawet wprowadzenia 18-miesięcznej karencji dla osób, które bez ważnego powodu zrezygnują z leczenia.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

● Ćwierć wieku temu korepetycje kojarzyły się głównie z maturzystami albo uczniami mającymi poważne problemy z nauką. Dziś korzystają z nich dzieci praktycznie na każdym etapie edukacji. Średnie miesięczne wydatki rodziców na zajęcia edukacyjne to 950 zł na jedno dziecko. Obywatel najpierw dokłada się do utrzymania szkół, a następnie coraz częściej musi jeszcze drugi raz zapłacić prywatnie, aby jego dziecko otrzymało niezbędne pensum edukacji. Ba, popyt na korepetycje jest już tak duży, iż wiele firm informuje o braku wolnych miejsc. Skoro klientów jest więcej, to ceny korepetycji rosną. Jednocześnie słyszymy, że polska szkoła potrzebuje coraz większych pieniędzy. Wynagrodzenia nauczycieli są przedmiotem kolejnych protestów i negocjacji. Ale po godzinach w szkołach ci sami nauczyciele jako prywatni korepetytorzy wykonują dokładnie tę samą pracę z tym samym materiałem i wtedy potrafią doprowadzić ucznia do zrozumienia tematu. Najbardziej zaś dziwi, że tak MEN, jak i rodzice jakoś nie widzą w tej patologii niczego złego.

● Prawica wciska nam, że obcokrajowcy przyjeżdżają do Polski tylko po to, aby korzystać z naszych pieniędzy. Ale gdy GUS policzył, ile pieniędzy cudzoziemcy zostawili w Polsce tylko w pierwszym kwartale 2026 r., i wyszło mu, że było to aż 10,9 mld zł. Oznacza to wzrost o 7,8 proc. w porównaniu z tym samym okresem zeszłego roku. Jeszcze ciekawiej robi się wtedy, gdy zestawi się te dane z wydatkami Polaków za granicą. My w pierwszych trzech miesiącach roku wydaliśmy poza krajem 7,8 mld zł. To również więcej niż rok wcześniej – o 10,4 proc. – ale oznacza to, że zagraniczni goście zostawili u nas o ponad 3 mld zł więcej, niż my pozostawiliśmy w innych państwach. Ponad połowa wszystkich pieniędzy wydanych przez cudzoziemców w Polsce, dokładnie 50,4 proc., przypadła na osoby przekraczające granicę z Niemcami. Na drugim miejscu znaleźli się Ukraińcy z udziałem wynoszącym 20,1 proc. wszystkich wydatków. Dalej uplasowały się Czechy z wynikiem 14,3 proc., Słowacja z 8,5 proc., Litwa z 3,8 proc., Białoruś z 2,7 proc., natomiast udział granicy z Rosją wyniósł zaledwie 0,2 proc. Dane te dotyczą wyłącznie krótkookresowego ruchu granicznego. GUS nie uwzględnia osób przebywających w Polsce dłużej niż rok. Nie ma tu podatków płaconych przez pracujących obcokrajowców, składek do ZUS, czynszów za mieszkania, rachunków za energię, paliwa czy codziennych zakupów ludzi, którzy od dawna funkcjonują na naszym rynku pracy. Więc zamiast traktować każdego obcokrajowca jak potencjalny problem, znacznie rozsądniej byłoby dostrzec w nim również klienta polskich przedsiębiorstw. Bo gospodarka nie rozwija się od straszenia obcymi.

TTJ

eprasa.pl 931df08398

Od setek lat owieczki głowiły się nad tym, jak to się robi w klasztorach.

Pod habitem


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Składają przysięgę milczenia, śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, które okazuje się najtrudniejsze Zwłaszcza wtedy, gdy seksualność zakonnicy przestaje być abstrakcyjnym punktem katechizmu, a staje się faktem. Kościół od wieków naucza, że osoba konsekrowana wyrzeka się życia rodzinnego. Problem zaczyna się dopiero, gdy okazuje się, że ślub czystości złamał nie tylko ksiądz czy zakonnik, ale również zakonnica. Wtedy cała instytucja uruchamia mechanizmy, które od stuleci są niezmienne. Kobieta znika – mężczyzna pozostaje na swoim miejscu.

A jednak się kręci

Dopiero w 2019 r. papież Franciszek przyznał, że duchowni wykorzystywali seksualnie zakonnice. Nie mówił o odległej historii, lecz o problemie istniejącym w Kościele. Lawina ruszyła na tyle, że w mediach odezwała się pani, która przez 12 lat była przełożoną generalną urszulanek i wieloletnią sekretarz Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych. Po 50 latach w habicie przyznała, że zna przypadki wykorzystywania seksualnego zakonnic również w naszym kraju. Mówiła o kilku przypadkach, określając je jako bardzo bolesne i jednocześnie zaznaczając, że nikt nie zna rzeczywistej skali zjawiska, bo nikt go nigdy nie badał. A wiadomo, że jak czegoś się nie liczy, to można później twierdzić, że tego nie ma.

Przez świat przetoczyła się fala materiałów medialnych pokazujących, że w wielu krajach Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej zakonnice były zmuszane do kontaktów seksualnych z duchownymi. Część zachodziła w ciążę. Niektóre opowiadały o naciskach, aby dokonały aborcji. Inne rodziły dzieci i były usuwane ze zgromadzeń. Duchowni pozostawali księżmi. Ten mechanizm powracał w relacjach z różnych kontynentów tak często, że trudno uznać go za przypadek.

W Polsce nie istnieje raport obejmujący wszystkie żeńskie zgromadzenia zakonne. Nie wiadomo, ile siostrzyczek zaszło w ciążę, ile zostało wywalonych z zakonów, ile zdecydowało się odejść dobrowolnie, a ile usunęło i przez całe życie zachowało milczenie. Istnieją wyłącznie pojedyncze świadectwa i wypowiedzi osób, które zdecydowały się mówić publicznie.

Jedna z historii przywołanych przez oberzakonnicę dotyczyła mniszki, która zaszła w ciążę. Musiała opuścić zgromadzenie, a ojciec dziecka pozostał księdzem. Bo choć ślub czystości składają obie strony, to konsekwencje ponosi tylko jedna.

Nie oznacza to, że każda relacja księdza i zakonnicy jest relacją przemocy. Kościół zna również przypadki dobrowolnych związków. Wystarczy jednak spojrzeć na konstrukcję instytucji: ksiądz ma autorytet wynikający z pełnionej funkcji, zakonnica zaś zobowiązana jest do posłuszeństwa, a granica między relacją dobrowolną a wykorzystaniem zależności potrafi być cieniutka.

No i lęk przed zgorszeniem. Przez dziesięciolecia w Kościele dominowało przekonanie, że skandal jest czymś gorszym niż sama przewina. Sprawy rozwiązywano więc wewnętrznie – przenoszono księży i nakłaniano do milczenia. Chroniono reputację instytucji.

Nieczystość poślubna

Niektóre zgromadzenia przyznają, że liczba odejść z życia zakonnego wzrosła. Dane watykańskie pokazują jednocześnie systematyczny spadek liczby zakonnic na świecie. Jeszcze na początku XXI w. było ich ponad 800 tys., obecnie – 600 tys. W Europie, w tym w Polsce, spadek jest największy.

Odejściom zapobiega ekonomiczna zależność. Wiele zakonnic przez całe życie wykonuje pracę na rzecz swoich zgromadzeń, nie budując własnego majątku. Odejście z zakonu po kilkunastu czy kilkudziesięciu latach oznacza często konieczność rozpoczynania wszystkiego od początku. Kobieta pozostaje bez mieszkania, bez oszczędności, nierzadko również bez doświadczenia zawodowego poza instytucją kościelną. To utrudnia zgłaszanie nadużyć równie skutecznie jak zależność psychologiczna.

Zakonnica, która zachodzi w ciążę, ma problem biologiczny, instytucjonalny i mieszkaniowy. Zakonnik, zostając ojcem, ma problem administracyjny. I to jest cała różnica między żeńską a męską czystością w Kościele.

U kobiet złamanie ślubów natychmiast staje się widoczne. U mężczyzn wszystko zależy od tego, czy matka dziecka będzie milczała, czy przełożony uzna sprawę za rozwiązywalną, czy znajdzie się kasa na alimenty, czy da się gościa przenieść, czy może da się jeszcze udawać, że nic się nie stało.

Oficjalna nauka jest surowa: w 2019 r. prefekt Kongregacji ds. Duchowieństwa przypomniał, że „księża, którzy mają dzieci, powinni opuścić stan kapłański dla ich dobra", bo sytuacja jest nieodwracalna i wymaga odejścia ze stanu duchownego, nawet jeśli duchowny uważa, że może dalej pełnić posługę. Tyle teoria. W praktyce media non stop opisują sprawy księży-ojców, tajnych ugód, alimentów i presji na milczenie.

W 2018 r. opisano księdza, który miał dziecko i walczył o nie z biskupem. Pojawiła się informacja o nieformalnych diecezjalnych „funduszach alimentacyjnych", z których wypłacane są pieniądze matkom dzieci duchownych i samym dzieciom. Wszystko po to, aby „afery obyczajowe nie szkodziły wizerunkowi Kościoła" i aby ukryć skalę łamania celibatu. Najmocniejsze było jednak co innego: księża-ojcowie mieli być poddawani presji, by pozostali w stanie duchownym i zrezygnowali z realnego ojcostwa.

W 2024 r. w mediach było głośno o tym, że nawet 15 proc. księży w Polsce może mieć dzieci. Podkreślano przy tym, że formalnie obowiązek alimentacyjny spoczywa na ojcu, niezależnie od zawodu. Pojawiała się też kluczowa uwaga: choć oficjalnie przyznanie się do nieślubnego dziecka powinno skutkować wydaleniem ze stanu duchownego, to „wiele zależy od przełożonego".

Z zakonnikami problem jest trudniejszy do uchwycenia, bo statystyki zakonów męskich mówią o wszystkim, tylko nie o ich życiu seksualnym. Wiemy, że najliczniejsi byli franciszkanie OFM, salezjanie, franciszkanie konwentualni, pallotyni i jezuici. Znamy sanktuaria, publikacje naukowe, duszpasterstwa, egzorcystów, komisje i kurie. Nie ma rubryk – ojcowie biologiczni, alimenty czy kobiety, które kazano uciszyć. Gdy chodzi o zakonnice, ciąża jest dowodem, którego nie da się zagadać homilią. A seksualność zakonników znika w ciszy klasztornych korytarzy.

Kiedy Episkopat przyjmował nowe zasady działania seminariów, zapisano w nich konieczność przygotowania do celibatu i posłuszeństwa. W przypadku „poważnych trudności w sferze seksualnej" albo doświadczenia krzywdy zalecono profesjonalną pomoc terapeutyczną i seksuologiczną, a przy poważnych problemach – ponowną weryfikację zdatności kandydata do święceń. Widać Kościół bardzo chętnie bada seksualność kandydatów, ale seksualność wyświęconych go nie interesuje.

Selekcja naturalna

Kościelna rozpusta, jeśli istnieje, ma w Polsce coraz mniej personelu. W żeńskich zgromadzeniach czynnych było na koniec 2025 r. 15 004 siostrzyczek, w tym 63 nowicjuszki i 50 postulantek. Zakrawa to więc na obraz starzejącej się cnoty. Najtwardsze dane dotyczą wieku mniszek klauzurowych – średnio miały 58,6 roku. W klasztorach kontemplacyjnych było tylko 15 nowicjuszek, 14 postulantek i 24 aspirantki. To znaczy, że klasztory nie tyle płoną młodością, ile dogasają różańcem, tabletkami na ciśnienie i statystyką zgonów.

Z siostrami czynnymi jest podobnie, choć Kościół nie podaje jednej wygodnej średniej wieku dla wszystkich zakonnic pracujących w szkołach, parafiach, domach pomocy i kuchniach plebanijnych. Podaje za to liczby: w 2000 r. nowicjat w żeńskich zgromadzeniach czynnych rozpoczęło 541 kobiet, w 2010 r. – 207, w 2023 r. – 46. W tym samym czasie zmarłych zakonnic było odpowiednio 428, 369 i 312.

Opowieść o seksualności osób zakonnych łatwo zamienić w tanią fantazję o rozbuchanej rozpuście w klasztorach. Tymczasem większość zakonnic to kobiety w wieku, w którym grzeszność rozumiana jako ciąża, romans z wikarym, ucieczka z klasztoru do kochanka albo nagłe macierzyństwo jest absolutnym wyjątkiem. Nie dlatego, że starość automatycznie kasuje emocje i cielesność, bo nie kasuje, lecz dlatego, że statystyka pokazuje wspólnoty coraz starsze, coraz mniej odnawiane i coraz bardziej złożone z kobiet, które swoje biologicznie najburzliwsze dekady mają dawno za sobą. Mężczyźni też się wykruszają, choć wolniej i ciszej. W 2023 r. w Polsce było 9455 zakonników. Rok wcześniej – 10 538, więc spadek nie był kosmetyczny.

Każdego roku odchodzi z klasztorów od 130 do 240 zakonnic. To pokazuje, że ten świat sam się wyludnia. A dopiero potem udaje, że jego najważniejszym problemem jest czystość.

TOMASZ BOROWIECKI

Bal przebierańców

Polak-katolik kontra polskokatolicyzm

Nikt nie lubi konkurencji, ale w kapitalizmie jest ona nieunikniona. Także na rynku usług religijnych. Kler rzymskokatolicki, niemalże monopolista w Polsce, również boryka się z trudnościami ze strony innych usługodawców. Ponieważ popyt na szamańskie obrzędy maleje, księża biją się o każdego klienta. Konkurentami są duchowni z innych Kościołów katolickich, które nie podlegają papieżowi – a są takie, i to liczne.

Konkurencja nie śpi

Metropolita gdański i przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski Tadeusz Wojda jest poważnie zaniepokojony usługami oferowanymi przez Kościół Polskokatolicki. Nazwa mogłaby sugerować, że to Kościół Rydzyka i Jędraszewskiego, ale nic bardziej mylnego. Mimo patriotycznej nazwy stanowi on zagrożenie dla budżetu Kościoła watykańskiego i jego polskich funkcjonariuszy. Niewprawione oko może nie odróżnić księdza polskokatolickiego od rzymskokatolickiego, i to wkurzyło Wojdę. Nikt mu forsy spod nosa zabierał nie będzie. Tak się obruszył, że aż napisał list do księży i wiernych archidiecezji gdańskiej.

„W ostatnim czasie do Kurii Metropolitalnej Gdańskiej coraz częściej napływają niepokojące zgłoszenia dotyczące nadużyć związanych ze sprawowaniem pogrzebów oraz asystowaniem przy zawieraniu małżeństw na terenie naszej archidiecezji. Sytuacje te dotyczą przewodniczenia przez duchownych Kościoła polskokatolickiego – wspólnoty, która nie pozostaje w pełnej wspólnocie hierarchicznej i doktrynalnej ze Stolicą Apostolską – liturgii i obrzędom kościelnym. Niektórzy wierni Kościoła rzymskokatolickiego traktują te działania jako posługę własnych duszpasterzy" – pisze Wojda. A dalej już na chłodno, żeby nie było wątpliwości, o co chodzi: „Analiza przypadków pokazuje, że problem ten wynika najczęściej z nieświadomości wiernych, ale także z praktyk rynkowych, które z całą stanowczością należy potępić. Część prywatnych zakładów pogrzebowych i pewna grupa właścicieli domów weselnych podejmują stałą współpracę z księżmi polskokatolickimi. Podmioty te, kierując się wyłącznie zyskiem, włączają do swojej oferty „udział kapłana", sugerując, że jest to usługa w pełni tożsama z działaniem duszpasterskim prowadzonym przez Kościół rzymskokatolicki".

Szatańskie podmioty

Szczególnie rozczula fraza o „podmiotach kierujących się wyłącznie zyskiem" spod pióra hierarchy kościelnego. Nie udało się ekscelencji zamaskować furii i rzeczywistych intencji. Choć wiadomo, że chodzi o hajs, to rzeczywiście łatwo się pogubić w tej imprezie. Obrzędy polskokatolickie są niemalże identyczne jak te rzymskie, stroje księży takie same, a na niuanse doktrynalne rzadko kto zwraca uwagę. Kościół polskokatolicki działa legalnie, jest zarejestrowanym związkiem wyznaniowym, nie ma więc mowy o bezprawnym podszywaniu się. Tradycję ma ponad stuletnią. U nich po prostu jest taniej, a skoro nie widać różnicy, to po co przepłacać? Polskokatolicy mają niższe stawki, a większości ludzi nie idzie przecież o wiarę, lecz o tradycję. Równie dobrze na ślubie czy pogrzebie mógłby wystąpić aktor grający księdza, byle tylko na obrazku wszystko się zgadzało. Księża polskokatoliccy sprawiają mniej problemów, nie wymagają tony świstków i jeszcze ceny mają promocyjne. Toteż nie dziwota, że przyciągają owieczki zmęczone wymaganiami „normalnego" proboszcza.

Głównym zarzutem Wojdy jest to, że konkurenci wprowadzają ludzi w błąd. Ale czy to ich wina, że owieczki są tak słabo wyedukowane religijnie, że nie widzą różnicy? Tyle godzin katechezy w szkołach i wszystko jak krew w piach. Religia w ogóle bazuje na ignorancji, a księża polskokatoliccy korzystają na niej podwójnie. Jak wszyscy duchowni, również oni mają potrzeby materialne. Po prostu robią sobie lepszy piar, odrzucając watykańską biurokrację.

Dla Polaka dziwne może być przede wszystkim to, że kler polskokatolicki jest żonaty. Nie obowiązuje ich celibat, co dla przeciętnego zjadacza komunii może być szokiem. Podobnie jak dla Pawlaka w „Kochaj albo rzuć". Trafił on w USA na zaobrączkowanego księdza z Polskiego Kościoła Narodowego – jeszcze innego wariantu katolicyzmu, od którego wywodzi się omawiany Kościół Polskokatolicki. Dla poczciwego prowincjusza jest to szok porównywalny do tego, gdy na statku wpadł z kolei na czarnoskórego księdza.

Dialog chuja z butem

Kościół rzymskokatolicki do tej pory utrzymywał z polskokatolicką konkurencją poprawne relacje. Przy episkopacie funkcjonuje Zespół ds. Dialogu ze Wspólnotą Kościelną Polskokatolicką, któremu przewodniczy bp Adrian Put. Chłopaki odwiedzają się wzajemnie w swoich świątyniach na tzw. nabożeństwach ekumenicznych, a także choćby podczas objęcia przez biskupów rządów w diecezji. To odróżnia Kościół polskokatolicki od innych niszowych Kościółków wywodzących się z tradycji starokatolickiej. Często te małe wspólnoty składają się ze „spadochroniarzy" – byłych rzymskokatolickich duchownych, którym nie wyszło albo pokłócili się z biskupem lub rzucili firmę w diabły dla baby lub chłopa. Polskokatolicy raczej takich uciekinierów nie przyjmują, dlatego dotychczas cieszyli się poważaniem Watykańczyków jako poważna wspólnota, a nie jacyś przebierańcy.

eprasa.pl 931df08398

Winy mszalne

Sierpień i młotem w gorzałę

Chlanie to niewątpliwy problem społeczny, sęk w tym, że kler jest akurat mało wiarygodnym autorytetem potępiającym ten proceder. W zawodach na ochlejmordy klechy nie ustępują budowlańcom

Drugi miesiąc wakacji to czas symbolicznego uścisku dłoni Kościoła i lewicy. Zarówno bowiem kler, jak i lewacy zgodnie piętnują alkohol – nie tylko nadużywanie, ale i używanie w ogóle. W sierpniu mają więc używanie, bowiem w kościelnej tradycji (nie tak znowu długiej jak na tę instytucję, bo zapoczątkowanej w 1984 r.) to miesiąc trzeźwości. Teoretycznie dlatego, że na ten miesiąc przypada wyjątkowo dużo świąt maryjnych (a na który nie przypada?). W praktyce zaś wiadomo, że to sezon wakacyjno-urlopowy, więc okazji i pokus jest więcej, a kler nie lubi, jak się ludzie zbyt dobrze bawią.

Gdyby teorię o miesiącu maryjnym traktować poważnie, to należałoby uczynić zupełnie odwrotnie i ustanowić sierpień miesiącem chlania. Nie kto inny przecież jak matka Jezusa namówiła swojego syna na weselu w Kanie Galilejskiej, żeby skołował alko, bo zapasy się wyczerpały. Ten zaś – z lenistwa lub dla szpanu – zamiast gnać do sklepu nocnego lub wysłać któregoś ze swoich chłopaków, niskim kosztem po prostu zamienił wodę w wino. Nie żeby coś, ale zgodnie z katolicką teologią podczas Ostatniej Wieczerzy z kolei wino zamienił w swoją krew (chyba lubił takie sztuczki) i kazał to samo robić księżom. Bez wina msza jest nieważna, choć księża alkoholicy mogą zamiast wina używać moszczu winnego, czyli soku winogronowego bez zawartości alkoholu. Muszą mieć jednak zgodę biskupa, co pokazuje, jak ważne są procenty w teologii.

Księża walczą więc z tym, co jest fundamentem ich wiary, ale przecież nie pierwsza to sprzeczność w katolicyzmie.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Cokolwiek by mówić, Czarzasty jest barwną postacią. Tymczasem Kościół kat. na przywódcę krucjaty antyalkoholowej wystawił chyba najnudniejszego możliwego zawodnika – bp. Tadeusza Bronakowskiego z Łomży (nomen omen). Gość jest tak apatyczny i pozbawiony charyzmy, że można podejrzewać episkopat o autobojkot. Bronakowski gada, jakby ciągle był na ciężkim kacu, a po minucie jego wywodów piwo się w kieszeni otwiera. Na trzeźwo ciężko słuchać tego bełkotu. Łomżyński biskup wyjmowany jest z zamrażarki przed sylwestrem i przed sierpniem właśnie. Oficjalnie funkcjonuje jako przewodniczący Zespołu ds. Apostolstwa Trzeźwości i Osób Uzależnionych przy episkopacie. Gdyby Jezus miał takich apostołów, to chrześcijaństwo umarłoby wraz z założycielem.

W międzyczasie Bronakowski jest też felietonistą Radia Maryja, gdzie wygłasza swoje pogadanki w cyklu „Myśląc Ojczyzna". Podobnie jak Czarzasty myśli zamiast pić. Chyba zażyłość z Rydzykiem jest motorem kariery biskupa, bo ciężko znaleźć inne jej przyczyny. No chyba że to, że na księdza wyświęcił go sławetny Juliusz Paetz, wówczas biskup łomżyński, przed tym jak trafił do Poznania. W opowieściach o tym klerykolubnym hierarsze często pojawia się wątek alkoholowy. Paetz miał suto polewać upatrzonym przez siebie chłopcom i młodym mężczyznom, wobec których miał plany. Nie chcemy gdybać, ale może stąd awersja Bronakowskiego do procentów i zaangażowanie w propagowanie trzeźwości...

Wzruszające są takie porozumienia ponad podziałami, jak to lewicy i Kościoła w walce z alkoholem. Nie śmiałbym politykom ani księżom zarzucać koniunkturalizmu i populizmu, ale faktem jest, że wśród młodzieży moda na abstynencję jest rodzajem światopoglądowej i pokoleniowej deklaracji. Kto wyrzeka na wódkę, ten ma szansę zostać idolem młodych. Ten ekumeniczny sojusz pokazuje, że Polacy mogą się dogadać nawet na trzeźwo. Czekamy na wspólne występy bepe Bronakowskiego i wiceministra Andrzeja Szejny, może będzie mniej nudno niż na solowych występach ekscelencji. Wszystko przed nami. Jak wiadomo, polityk dla kilku procent jest w stanie zrobić nie mniej niż alkoholik.

MATT KOBOSKO

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Studenci pielęgniarstwa i ratownictwa medycznego Uniwersytetu Kaliskiego będą mogli zaliczyć część praktyk zawodowych, pomagając przy zabezpieczeniu medycznym Kaliskiej Pieszej Pielgrzymki na Jasną Górę. Uczelnia zaczęła już nabór zainteresowanych. No tak, nikt nie wspominał, że piec, do którego należy wkładać pacjenta na trzy zdrowaśki, musi być stacjonarny.

✚ W Walcowni Metali Dziedzice, należącej do kontrolowanej przez Romana Karkosika Grupy Boryszew, rozpoczęły się konsultacje dotyczące planowanych zwolnień grupowych. Redukcja może objąć 200 pracowników, czyli niemal połowę całej załogi. W tym samym czasie Roman i Grażyna Karkosikowie finansują budowę 55-metrowej figury Matki Boskiej Bożej Bolesnej w Konotopiu. Po zakończeniu budowy ma to być najwyższy tego typu pomnik w Europie. Słusznie. Pracownik pójdzie na L4 albo do konkurencji, a pomnik zostanie na zawsze.

✚ Pod koniec lipca przed Szpitalem Specjalistycznym im. A. Falkiewicza na wrocławskim Brochowie odbył się publiczny różaniec o zatrzymanie aborcji. Blisko 200 płodziarzy modliło się i protestowało przeciwko planom zatrudnienia w szpitalu ginekolog Gizeli Jagielskiej. Jednym z prelegentów był Krzysztof Kasprzak, członek zarządu Fundacji Życie i Rodzina. „Nadejdzie taki czas, że wy i wasi polityczni mocodawcy odpowiecie za to. I to nie będą grzywny. To nie będą zawiasy. To będą długoletnie więzienia, bo za zabijanie ludzi adekwatną karą jest albo kara najwyższa, główna, albo więzienie" – powiedział jeden z szefów organizacji, która walczy o życie od poczęcia do naturalnej śmierci. Ciekawe, która to dziesiątka różańca.

✚ 19 lipca w Czerczyńcach w województwie dolnośląskim jeden z kierowców zauważył poruszające się w niebezpieczny sposób auto i powiadomił policję. Na miejsce skierowano patrol, który zatrzymał samochód w pobliżu kaplicy. Badanie alkomatem wykazało, że kierowca miał blisko 2 promile alkoholu w organizmie. Jak się okazało, za kierownicą siedział proboszcz Parafii Matki Bożej Bolesnej w Białołęce, który śpieszył odprawić poranną mszę. Klecha został zatrzymany i przewieziony do Komendy Powiatowej Policji w Polkowicach. Sąd Rejonowy w Głogowie ekspresowo orzekł wobec proboszcza grzywnę w wysokości 9 tys. zł, trzyletni zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych oraz przepadek samochodu, którym kierował pod wpływem środków wyskokowych. Wobec księdza konsekwencje może wyciągnąć również kuria. Serdecznie gratulujemy.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

✚ W związku z petycją złożoną przez mieszkańców Częstochowy oraz wiernych Kościoła prawosławnego, dotyczącą planowanego występu blackmetalowego zespołu Batushka podczas Festiwalu Frytka OFF 2026, podjęto decyzję o odwołaniu tego koncertu. Protestujący uznali, że stylistyka zespołu i tematyka tekstów to satanistyczna inwersja wyznania prawosławnego. Organizator stwierdził, że w sytuacji, gdy koncert wzbudza kontrowersje i może być interpretowany przez wyznawców wspólnot chrześcijańskich jako godzący w ich uczucia religijne, nadrzędną wartością jest zapewnienie spokojnego, bezpiecznego i niezakłóconego przebiegu festiwalu, dostępnego dla szerokiego grona odbiorców. My uznajemy decyzję za skandaliczną.

KLECHA

No i mają około 20 tys. wiernych, więc trzeba się z nimi przynajmniej trochę liczyć. Na zdjęciach trudno ich odróżnić, ale jak widać, mimo uśmiechów są na wojennej ścieżce. W laicyzującym się kraju każdy parafianin jest na wagę złota.

Ksiądz polskokatolicki, z którym rozmawiałem, nie ma wątpliwości, że chodzi tylko o pieniądze. Sam miał do czynienia z rzymskimi kolegami, którzy uważają, że to, co robią polskokatolicy, jest nieuczciwe, bo psują rynek. – U nas „co łaska" to naprawdę „co łaska", a nie „nie mniej niż...". To ich wkurza. Jeden z księży powiedział mi wprost, że jak już udzielamy sakramentów, to żebyśmy brali tyle co oni, bo inaczej to jest nie fair. Tak że widać, jakie jest podejście rzymskich katolików, i że nie jest to żadna troska o dusze wiernych, a o własny trzos – stwierdził.

Zapytany przez „Wyborczą" o przepływ wiernych ks. Rafał Michalak, proboszcz polskokatolickiej Parafii Bożego Ciała w Gdańsku, odpowiada: – Konkretnych liczb nie podam, ale rzeczywiście coraz więcej osób do nas przychodzi. Powody są różne. Niektórzy są zrażeni do Kościoła rzymskokatolickiego. A u nas polityki nie ma. Ksiądz ma służyć ludziom, nie odwrotnie.

Alternative für Kirche

Księża polskokatoliccy są niezłymi marketingowcami. W mediach jest o nich głośno przynajmniej raz do roku, podczas finału WOŚP. Bryluje wówczas ks. Tadeusz Budacz, proboszcz parafii w Krzykawie Małobądzu, który aktywnie wspiera fundację Owsiaka. Na ornat przykleja słynne serduszko, a przed kościołem kwestują wolontariusze. „Dzięki Jurkowi Owsiakowi moje dzieci żyją. Syn był w inkubatorze od Jurka Owsiaka i przeżył, był niedotleniony, a córka miała badany słuch i korzystaliśmy ze sprzętu WOŚP" – tłumaczył na Facebooku. Przy okazji przemyca też informacje o alternatywie, jaką jego Kościół stanowi dla tego z siedzibą w Watykanie. Ktoś złośliwy mógłby się przyczepić, że trudno pożenić wspieranie orkiestry z deklarowaną apolitycznością, ale my przecież nie jesteśmy złośliwi.

Abp Tadeusz Wojda paradoksalnie wyświadczył konkurencji przysługę. Dzięki jego pełnemu oburzenia listowi nagłośnionemu w mediach wielu ludzi po raz pierwszy usłyszało o takim zjawisku jak Kościół polskokatolicki. W materiałach omawiających apel Wojdy pojawiają się informacje o tym, że u polskokatolików nie obowiązuje celibat, nie ma spowiedzi na ucho, tylko powszechna, że nie obowiązuje cennik za sakramenty. Poza tym wiara jest ta sama.

Dla sporej grupy osób może to być sensacja, że istnieje Kościół, gdzie jest w miarę normalnie (o ile w Kościele może być normalnie) i że istnieją inne opcje realizowania duchowych potrzeb.

Dotychczas ludzie zniesmaczeni Kościołem, ale nadal wierzący, ewakuowali się zazwyczaj do protestantów, ale to ogromny przeskok estetyczny i teologiczny. Akces do Kościoła Polskokatolickiego wiąże się tylko z brakiem spowiedzi, lecz to chyba nie jest wielki problem. No i trzeba pożegnać się z papieżem jako szefem całego Kościoła, ale przecież prawdziwego papieża i tak już nie ma.

ŁUKASZ PIOTROWICZ



Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 931df08398

Chorwackie wakacje prawackiej narracji

Kryzys logiki w państwie Europa



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jeżeli najbogatszy człowiek świata, przyjaciel prezydentów i aspirujący ideolog prawicy Elon Musk poleca ci film, to musisz go obejrzeć. „Citizen Vigilante" to prawicowa fantazja na temat Batmana walczącego w Europie z imigrantami.

Są filmy dobre i złe. Są filmy tak złe, że stają się dobre. I jest jeszcze „Citizen Vigilante" niemieckiego reżysera Uwego Bolla, odmawiającego wejścia do którejkolwiek z tych kategorii. To produkcja, która próbuje być brutalnym thrillerem, społecznym komentarzem i moralitetem, ale kończy jako niezamierzona parodia gatunku i ośmieszenie politycznej wizji, którą chce promować.

Historie o samotnym mścicielu, który widząc wokół siebie bezkarnych przestępców, skorumpowanych polityków i bezradną policję, postanawia na własną rękę walczyć z bezprawiem, to klasyka kina i literatury. Język angielski wyróżnia nawet osobny gatunek – vigilante film. O tym są historie superbohaterów, takich jak Batman czy Spider-Man. O tym była cała seria „Życzenie śmierci" – najpierw z Charlesem Bronsonem, później z Bruce'em Willisem. Najbardziej pogłębiony portret samotnego mściciela stworzył jednak Robert De Niro w „Taksówkarzu" Martina Scorsesego. Do tego gatunku postanowił dołączyć Uwe Boll – reżyser znany głównie z ekranizacji gier komputerowych i kina politycznie zaangażowanego, ale dotychczas raczej niekojarzony ze skrajną prawicą.

Historia „Obywatela Mściciela" (tak można przetłumaczyć tytuł) jest prosta. Do ogarniętego kryzysem migracyjnym i przestępczością imigrantów państwa Europa przyjeżdża Amerykanin Michael, były komandos i dziedzic fortuny zbudowanej na wynajmie nieruchomości. Widzi upadek prawa, skorumpowanych polityków i sędziów oraz bezkarnych przestępców mordujących i gwałcących białe kobiety. A że ma wojskowe umiejętności, arsenał broni i mnóstwo pieniędzy, rozpoczyna samotną krucjatę. To mógł być naprawdę solidny europejski thriller sensacyjny. Niestety, nie jest.

W filmach o mścicielu widz powinien choć trochę sympatyzować z bohaterem. Z Michaelem jest to praktycznie niemożliwe. Nie okazuje on żadnych emocji i przez cały film zachowuje się identycznie. Czy jedzie autobusem, ucieka przed policją, poucza młodzież, rozmawia z ofiarą gwałtu czy morduje gangsterów – zawsze ma tę samą minę, ten sam ton głosu i tę samą drewnianą ekspresję. Trudno zrozumieć, czy walczy z przestępczością, bo współczuje ofiarom, czy po prostu lubi zabijać migrantów i policjantów. Sam bohater chyba nie bardzo wie, o co mu chodzi.

W jednej ze scen grupa nastolatków nie chce kupić biletów i olewa kierowcę autobusu. Michael postanawia dać im lekcję życia. Najpierw... płaci za ich bilety. A potem wygłasza kompletnie niezrozumiałą pogadankę ekonomiczną, przekonując, że jeśli część pasażerów nie płaci za bilety, to ceny dla pozostałych rosną dokładnie o 10 proc. Skąd wzięło się akurat te 10 proc.? Nie wiadomo. Najwyraźniej scenarzysta ma do tej liczby słabość, bo w innej scenie Michael niczym Tomasz Lis opierdala pracowników firmy swojego ojca za opieszałość w eksmisji niepłacących lokatorów, również posługując się magicznym wskaźnikiem 10 proc.

Dzieciaki z autobusu – podobnie jak widz – nie zrozumiały z tej lekcji absolutnie nic. Wobec braku poprawy zachowania nasz komandos w kolejnej scenie... łamie im ręce i nogi. Po czym odchodzi niewzruszony, jakby właśnie zakończył udaną lekcję przedsiębiorczości.

Takich absurdów jest znacznie więcej. Twórcy próbują przekonać widza, że w sytuacji upadku państwa i wymiaru sprawiedliwości obywatelski odwet może być moralnie uzasadniony. Jednocześnie każą swojemu bohaterowi mordować i torturować ewidentnie niewinne osoby z taką samą pasją, z jaką rozprawia się z gangsterami. W efekcie moralny przekaz rozsypuje się niczym domek z kart.

W „Citizenie" zgrzyta także miejsce akcji. W „Taksówkarzu", „Życzeniu śmierci" czy „Batmanie" klimat budowały obrazy upadłych miast: Nowego Jorku czy Gotham City. Zaśmiecone ulice, opuszczone kamienice, pijani ludzie pod sklepami – widz czuł zagrożenie, z którym mierzył się bohater.

Tutaj akcja rozgrywa się w tajemniczym państwie o wdzięcznej nazwie Europa. Nie w Europie. W kraju „Europa". Pomysł sam w sobie mógłby być ciekawy, gdyby twórcy rzeczywiście stworzyli wiarygodny świat. Mogli pojechać pod Paryż, nakręcić kilka scen w Clichy-sous-Bois albo innym zaniedbanym przedmieściu i zbudować atmosferę rozpadającego się państwa. Ale nie. Film nakręcono w Chorwacji, jednym z najbezpieczniejszych i najczystszych państw Europy. Zamiast wizji kraju pogrążonego w chaosie reżyserowi niechcący wyszła reklama Unii Europejskiej. Bohater spaceruje po zadbanych uliczkach, przechodzi przez czyste place i parki, jedzie nowoczesnym autobusem, w którym umundurowany kontroler grzecznie prosi o bilet. Odwiedza czyste szpitale, nowoczesny komisariat policji i sklepy pełne świeżych warzyw. W tym rzekomo upadłym państwie nie ma nawet korków. Po porwaniu skorumpowanego sędziego Michael bez najmniejszego problemu wywozi go za miasto szerokimi, pustymi drogami z nowym asfaltem. Amerykański widz po seansie może tylko wpisać w Google: „Gdzie leży kraj Europa i jak się tam przeprowadzić?".

Logika fabuły również wyjechała na chorwackie wakacje. Bohatera ściga cały Interpol, ale chwilę później spaceruje sobie po mieście, jakby nikt nigdy o nim nie słyszał. Śmierć kilkudziesięciu policjantów nie wywołuje żadnego kryzysu państwowego, nie trafia nawet na czołówki serwisów informacyjnych. W telewizji prezenterka, zamiast relacjonować największą falę terroru w historii kraju, wygłasza pochwałę działań mściciela i polityczną agitkę przeciwko migrantom.

Największym problemem filmu nie jest jego antyimigranckie przesłanie – z nim można się zgadzać albo nie. Problemem jest słaby scenariusz i drewniany bohater.

Niezależnie od tego film odniósł sukces komercyjny. Ogromną promocję zapewnił mu Elon Musk, który udostępnił go na platformie X i gorąco zachęcał do seansu.

Wymowa „Citizena" dobrze wpisuje się w narrację populistycznej prawicy w Europie i Stanach Zjednoczonych. Wielu widzów zachwyca się filmem, pisząc w recenzjach, że w końcu ktoś powiedział, jak jest.

Po internecie krążą klipy ze sceny, w której Michael morduje 14-letniego gwałciciela, a następnie całą jego muzułmańską rodzinę. Musk udostępnił tę scenę z komentarzem jednego z użytkowników: „umiarkowana odpowiedź".

To mówi sporo o części współczesnej prawicy i jej najbardziej wpływowych sympatykach. Nie tyle dlatego, że promują brutalny film, ale dlatego, że zdają się wierzyć, iż zadbana, spokojna Chorwacja jest wiarygodnym obrazem Europy pogrążonej w wojnie domowej, a mordowanie całych rodzin ma być receptą na przywrócenie porządku.

LEON ORŁOWSKI

Goethe, Stalin i „Ojczyzna"

Pawlikowski o Mannie, Gociek o Pawlikowskim



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy przeczytałam, że Piotr Gociek z tygodnika „Do Rzeczy" nagrodzony na festiwalu w Cannes obraz „Ojczyzna" określił mianem „artystycznego kiczu Pawlikowskiego", natychmiast zapragnęłam zobaczyć film. Nie zawiodłam się.

Akcja „Ojczyzny" rozgrywa się w szczytowym momencie zimnej wojny. Jest rok 1949, Niemcy właśnie zostały podzielone na dwa państwa – Republikę Federalną i Demokratyczną. Tomasz Mann wraca do ojczyzny po raz pierwszy po latach emigracji, z okazji 200. rocznicy urodzin Goethego. Razem z córką przemierzają kraj: od Frankfurtu pod kontrolą amerykańską po Weimar w radzieckiej strefie wpływów.

Centralną figurą zderzenia ustrojów jest sam noblista. Zachodnie Niemcy widzą w nim ikonę kultury, choć nie bez przytyku za opuszczenie kraju u progu wojny. Wschodnie Niemcy przyjmują pisarza z dużym entuzjazmem, bo jego obecność w Weimarze traktują jako legitymizację nowego porządku. Mann pytany na konferencji we Frankfurcie, który ustrój jest lepszy, odpowiada, że i jeden, i drugi ma jakieś wady. Jego córka Erika odrzuca kompromis. Jej sceptycyzm wobec wschodnioniemieckich gospodarzy jest równie ostry jak nieufność do zachodnioniemieckich elit. Żaden ustrój, który wyrósł z gruzów III Rzeszy, nie zasługuje na zaufanie.

Pawlikowski zrezygnował z biograficznej dosłowności. W rzeczywistości podczas podróży po strefach okupacyjnych Erika towarzyszyła obojgu rodzicom. Reżyser pominął postać żony pisarza, Katii Mann, żeby pokazać dynamikę percepcji dwóch pokoleń: córki i ojca.

Mann próbuje budować mosty między systemami za pomocą kultury i słowa; Erika odrzuca tę strategię jako złudzenie. Piotr Gociek nic z tego przekazu nie zrozumiał.

Scenariusz gęsto przeplata problematykę złudzeń idealizmu, zimnowojennego wyścigu po kapitalizację dziedzictwa kulturowego oraz legendę Fausta opracowaną zarówno przez Manna, jak i Goethego. Dwa ustroje – kapitalistyczny Zachód i komunistyczny Wschód – funkcjonują dokładnie jak Faust i Mefisto: każdy z nich istnieje jako zaprzeczenie i uzasadnienie drugiego. Zachód definiuje się przez wolność od sowieckiego zniewolenia; Wschód legitymizuje się krytyką zachodniego wyzysku. Żaden nie potrafi istnieć bez drugiego jako punktu odniesienia.

Pawlikowski nie pokazuje Zachodu jako dobra i Wschodu jako zła (ani odwrotnie), lecz właśnie jako dwie siły faustowskie uwikłane w siebie nawzajem i niezdolne do samookreślenia bez lustra, jakim jest przeciwnik. Zresztą, co wnikliwszy widz zauważy, że czarno-białe kadry (na marginesie mówiąc, rewelacyjne) to nie tylko estetyczna konwencja. To świadomy zabieg. W świecie pozbawionym kolorów znika złudzenie, że którakolwiek strona ma rację absolutną. Oba systemy używają tych samych narzędzi – ceremoniału, muzyki, Goethego – jako symbolu, tylko z inną dekoracją. Na Zachodzie marmurowe hole i szampan. Autor „Doktora Faustusa", alegorii upadku Niemiec, na frankfurckim bankiecie siedzi w towarzystwie eksnazistów. Na Wschodzie chór żołnierzy i gospodarz tłumaczący, że Goethe był protomarksistą.

„Obywatel Tomasz i obywatelka Erika właściwych wniosków już nie mogą wyciągnąć, bo przyjmują za swoją niewłaściwą diagnozę stanu świata: symetryzm, od którego już krok do panświnizmu" – podsumowuje redaktor Gociek, łżąc Pawlikowskiego, że brnie w tę narrację ochoczo. To absurd.

Mann jedzie do Weimaru, żeby zamanifestować (lub podjąć taką próbę) jedność Niemiec i humanistyczne wartości ponad podziałem. W jednej ze scen pojawia się amerykańska gazeta, w której Manna – obok Charliego Chaplina i Einsteina – nazwano V kolumną Stalina. Zarówno Einstein, jak i Chaplin byli inwigilowani przez FBI i oskarżani w amerykańskiej prasie prawicowej o sympatie komunistyczne lub wprost o bycie agentami sowieckimi. Obaj wspierali lewicowe petycje i apele o pokój, co w klimacie maccartyzmu wystarczyło, żeby dostać łatę komunisty. Mann nieprzypadkowo znalazł się w tym zestawieniu.

eprasa.pl 931df08398

Odyseusz pseudopostępu

To nie jest dobry film. Jak by nie patrzeć.

Każda epoka ma swoje mity i swoich herosów. Istnieją jednak bohaterowie, którzy wyrastają ponad swe epoki i sięgają dalej – a jest nim także Odyseusz. To jeden z tych bohaterów, których upodobali sobie nie tylko artyści, ale także filozofowie i teoretycy. Bodajże najgłośniejsze „zastosowanie" ma Odys w sławnej pracy Theodora Adorna i Maxa Horkheimera: „Dialektyka oświecenia". Dla klasyków teorii krytycznej i marksizmu Odyseusz uosabia tam rodzącego się ducha oświecenia i rozum kapitalistyczny.

Odyseusz Adorna i Horkheimera kpił z bóstw tak samo, jak kolonizator okpiwał tubylców, oferując im bezwartościowe szklane paciorki w zamian za złoto i kość słoniową. Zdaniem autorów Odyseusz był więc bohaterem, który zwiastował nadejście burżuazyjnego pragmatyzmu i wszystkiego, co z nim związane. Odys wyrastał co prawda ze starego, ale przezwyciężając nierozumność czasów minionych, tworzył też zupełnie nową rzeczywistość.

Ale w opinii filozofów Odyseusz był bohaterem tak tragicznym, jak i budzącym grozę. Z pięknych heroicznych opowieści wyziera bowiem kult przemocy oraz wszechobecna śmierć. To zresztą żadna tajemnica, bo w „Odysei" przemocą, egzekucjami i trupami rozkoszuje się i sam Homer, dla którego wieszanie i mordowanie kobiet to widowisko, jak inne.

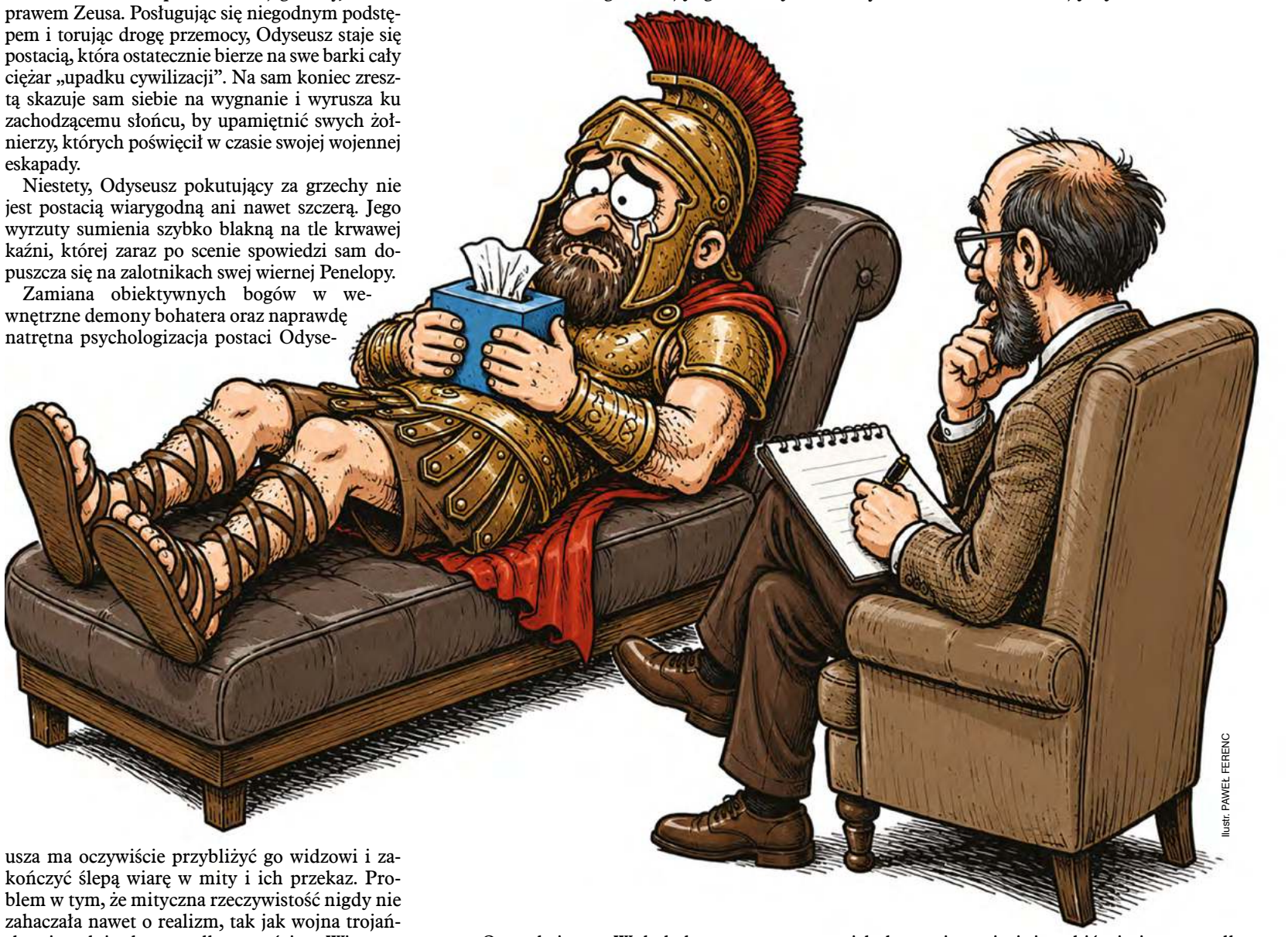
Odbrązowianie

Tym samym demistyfikującym mityczną bohaterskość Odyseusza tropem podąża reżyser Christopher Nolan. Jego odnosząca kasowy triumf „Odyseja" jest dziełem w pełni ponowoczesnym i stanowi udaną dekonstrukcję mitu. Opowieść baśniowa zamienia się w opowieść traumatyczną, a wojna traci tu swój heroiczny wymiar. Bohaterowie historii gubią swe heroiczne maski, a przemoc staje się naga. Przypominający Lorda Vadera opancerzony Agamemnon, niczym mroczny duch historii i sama śmierć, kroczy przez upadającą Troję. W zwycięstwie i zdobyciu miasta nie ma żadnej chwały, jest jedynie upadek obyczajów i klęska cywilizacji. A przebiegły Odyseusz z tytana rozumu zmienia się w dręczonego traumą świadka historii, w świadomego swoich win kolonizatora i sprawcę przemocy żałującego swoich grzechów.

To bohater złamany i zmagający się z własnymi demonami. Łamie prawo dobrej gościny, zwane prawem Zeusa. Posługując się niegodnym podstępem i torując drogę przemocy, Odyseusz staje się postacią, która ostatecznie bierze na swe barki cały ciężar „upadku cywilizacji". Na sam koniec zresztą skazuje sam siebie na wygnanie i wyrusza ku zachodzącemu słońcu, by upamiętnić swych żołnierzy, których poświęcił w czasie swojej wojennej eskapady.

Niestety, Odyseusz pokutujący za grzechy nie jest postacią wiarygodną ani nawet szczerą. Jego wyrzuty sumienia szybko blakną na tle krwawej kaźni, której zaraz po scenie spowiedzi sam dopuszcza się na zalotnikach swej wiernej Penelopy.

Zamiana obiektywnych bogów w wewnętrzne demony bohatera oraz naprawdę natrętna psychologizacja postaci Odyseusza ma oczywiście przybliżyć go widzowi i zakończyć ślepą wiarę w mity i ich przekaz. Problem w tym, że mityczna rzeczywistość nigdy nie zahaczała nawet o realizm, tak jak wojna trojańska nie należy do porządku napaści na Wietnam czy Irak. Ostatecznie nolanowski Odyseusz jest więc niczym Mors ze świata Alicji i jej Krainy Czarów. Żałuje tego, co robi, i roni ciężkie łzy nad ofiarami, ale dalej powtarza swoje zbrodnie. Uważa siebie samego za przeklętego grabarza wspanialszej cywilizacji, ale przecież własnoręcznie dekonstruuje pełen bogów, zabobonny świat, który istniał wcześniej. Filmowy Odys jest więc postacią faktycznie tragiczną, ale na naiwnie pseudopostępową modłę. A naiwność tę podkreśla to, że kompletnie nie rozumie on swojej roli w ewolucji otaczającego go świata.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Pomarańczowy Agamemnon

Nowa „Odyseja" to filmowa opowieść będąca lustrzanym odbiciem współczesnego Zachodu. Wiecznie żałującego za grzechy, wiecznie strapionego kondycją planety oraz biedakami umierającymi gdzieś tam z głodu. Ale przy tym jednak wciąż uparcie trzymającego się swojej kapitalistycznej wiary

i tych samych okrutnych praktyk, aż do zagłady klimatycznej włącznie. Konia trojańskiego zastąpił Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Przebiegłego Odyseusza zastąpił sprytny Soros oraz skryci za kapitałem finansowym globaliści. A ruszającego na wojny handlowe pod byle pretekstem pomnikowego Agamemnona zastąpił robiący to samo operetkowy Donald Trump. Kolejne Troje upadają i płoną na naszych oczach, lecz smutek i rozterki niczego nie zmieniają. Gaza musi płonąć, tak jak Troja, bo nie ma żadnej alternatywy, a nasze mity, ideologia i działania każą nam powtarzać w kółko jedno i to samo.

Oczywiście zmieniają się środki. Łuki i strzały zastąpiły bomby. Bohaterów eposów homeryckich zastąpili heroiczni oligarchowie albo tragiczni naukowcy, którzy pracują na rzecz przemysłu zbrojeniowego. Kac moralny, przeżywany przez uwspółcześnionego Odyseusza, pasuje jak ulał do kaca moralnego budującego bombę atomową Oppenheimera. W dodatku to ten sam reżyser pokazuje nam, jak wielce cierpi Odyseusz i jak wielce cierpiał Oppenheimer. Są to jednak wszystko wymuszane płacze nad bohaterami, których negatywna strona w zasadzie nie podlega negocjacjom.

W przypadku Odyseusza jak najbardziej możemy się spierać, czy rzeczywiście mamy tu do czynienia z bohaterem, który powinien obarczać się winą za koniec wspanialszej i pozbawionej skaz cywilizacji. Wydaje się jednak, że i przez film, i przez jego głównego bohatera zdecydowanie bardziej przemawia duch współczesnego świata i próba dokonania wielkiego rozliczenia ze współczesnością: w „Odysei" Nolan w rzeczywistości przedstawia wielką spowiedź zachodniego imperializmu ze swych grzechów. Nawet przepisana na nowo Helena w tym wydaniu jest porwaną przez białych czarną niewolnicą. A wielcy greccy bohaterowie, mający się za ludzi cywilizowanych, ostatecznie (w duchu Coetzeego) sami okazują się ludźmi morza – czyli zalewającymi kontynent barbarzyńcami, których obawia się nie tylko cały basen Morza Śródziemnego.

Ryzyko nadmiernej prostoty

Problem tej nowej i rozliczeniowej Odysei polega jednak na tym, że samobiczowanie się i zgłębianie traumy ma sens tylko o tyle, o ile rozpoczyna proces zdrowienia. Odyseusz zostaje zniesiony i zniszczony przez Nolana. Ale choćby u wspomnianych klasyków marksizmu Odys miał także pozytywne przymioty, które zawiera w sobie i sam kapitalizm wraz ze swoim – oczywiście uprzedmiotowionym – oświeceniowym rozumem. Bo nie wszystko, co w kapitalizmie, jest kapitalistyczne – i nie cała rzeczywistość odpowiada za swoje najciemniejsze karty. Przebiegłość, intelekt, dominacja rozumu nad przesądem, wiara w ludzką zaradność – nie przynależą tylko do zbrodni, nie są własnością ludzi morza czy zachodniego imperializmu.

Odyseusz nie triumfuje nad światem w sposób oczywisty lepszym i bardziej sprawiedliwym, lecz działa w warunkach rywalizacji niewolniczych państewek, w realiach antyrozumu oraz powszechnego okrucieństwa. Przynosi postęp. Tej opowieści nie można tak łatwo unieważnić – bo także współczesne społeczeństwo potrzebuje i pragnie podobnej opowieści, pragnie eposu. Ale niewyłącznie jako przypomnienia o zbrodniczej genezie wszystkiego, co współczesne.

Niestety, tak totalna dekonstrukcja ma to do siebie, że nie pozostawia po sobie nic pozytywnego. A nasz wielki, zachodni problem ze śmiercią starego i brakiem nowego tylko się pogłębia. Nic więc dziwnego, że widownia, której zabiera się kolejnych bohaterów i opowieści, niekoniecznie pieje z zachwytu obserwując, jak Odyseusz czy Robin Hood zamieniają się w ludzkie wraki i kultura nie może już zrobić nic innego, tylko próbować się ich pozbyć. Za przemoc, za zbrodnie, za niedzisiejszość. Obalony epos zamienia się w opowieść negatywną i przestaje pełnić swoją rolę. A jaki „bezpieczny" i „akceptowalny" przez mainstream epos zostaje w zamian? Ten z pacyfistką Taylor Swift, genialnym Elonem Muskiem i piękną Kim Kardashian?

Tęsknota za dialektyką

Lekcją, której zarówno Nolan, jak i współczesna lewica nie są w stanie odrobić, jest lekcja z dialektyki. Aż się prosi, żeby przypomnieć heglowską opowieść o oświeceniowych kamerdynerach historii – czyli tych, którzy w wielkich postaciach historycznych zdolni byli dostrzec tylko ludzkie słabości: a to, że jeden pił, a to, że drugi romansował. Nic poza tym; nic innego, większego. Odyseusz rzeczywiście uosabia wiele z cech, które można przypisać wilkom z Wall Street albo wynikającemu z kapitalizmu faszyzmowi czy imperializmowi. Ale Odyseusz to także coś więcej. To nie tylko zagrożenia, ale i nadzieje. To żywa dialektyka. I wewnątrz tego konfliktu jest też niezłomność ludzkiego ducha, siła rozumu, przezwyciężanie ciemnoty i mroków własnej nieświadomości.

To ostatnie wydaje się zresztą najważniejsze. Bo antyczny Odyseusz, jeśli nawet skąpany we krwi i pełen wątpliwości, to jednak wyrasta ponad świat zabobonów i nierozumu... A więc i dla nas jest nadzieja. Nie jesteśmy skazani ani na los łupieżców i niszczycieli, ani na wieczne użalanie się nad dziedziczonymi zbrodniami i traumami. Bo te nie są nasze. Należą do systemu i do klas, których polityki nie musimy kontynuować. Więc możemy marzyć o wolności od imperializmu. I możemy podarować tę wolność także strudzonemu, a być może i straumatyzowanemu Odyseuszowi. Nie odrzucając przy tym wszystkiego, co symbolizuje i co wciąż przyciąga do jego postaci, co może też ratować nas przed kapitalistyczną idiokracją.

Nie wszystkie zachodnie mity są tylko wyrazem imperialistycznej zgnilizny i zepsucia. W tym, co stare, jest też i zalążek nowego. A postępowa dekonstrukcja, która jest tylko i wyłącznie dekonstrukcją i nie daje nic w zamian – po prostu nie jest postępowa.

A poza tym film jest mocno średni.

TYMOTEUSZ KOCHAN

W 1949 r. noblista wsparł nowojorski Kongres Pokoju, który amerykańska administracja postrzegała jako sowiecką operację propagandową. Podpisywał także apele pacyfistyczne, które FBI i prawicowa prasa interpretowały jako pracę na rzecz Moskwy.

Scena, w której autor „Czarodziejskiej góry" – powieści o starciu idei – siedzi i słucha, jak jego największy mistrz jest tłumaczony jako prekursor materializmu dialektycznego, jest szczególnie ironiczna. Engels udowodnił, że wielkich twórców i ich dzieła należy oceniać przez pryzmat epoki, w której żyli, oraz interesów klasowych, jakie reprezentowali. Odrzucił tym samym naiwną wiarę, że poezja i abstrakcyjna moralność mogą zastąpić realną zmianę społeczną i polityczną. Uważał, że Goethe jest wielki, ale jest artystą głęboko sprzecznym, co wynika z jego pozycji klasowej. Sam ostrzegał przed bezkrytycznym zawłaszczaniem Goethego dla socjalizmu. Wschodnioniemiecki gospodarz robi zatem coś, co sam Engels by skrytykował. Humanizm Goethego zostaje podzielony razem z Niemcami. Mann, jadąc uczcić poetę, sam staje się jego wersją – wielkim pisarzem, który rozumie więcej, niż jest gotów powiedzieć głośno. Jego próba bycia ponad zimną wojną z automatu czyni go w oczach obu stron agentem strony przeciwnej. Wszystko dlatego, że żaden z ustrojów nie toleruje neutralności.

„Pojawiają się w prasie europejskiej porównania Pawlikowskiego do Kieślowskiego – bezmyślne jest to paplanie, bo twórca »Dekalogu« miał nam coś do powiedzenia, a Pawlikowskiemu jedynie się wydaje. Jego efektowny formalnie film jest pusty w środku" – podsumowuje surowo redaktor „Do Rzeczy".

Gdyby Pawlikowski wprost powiedział, że któryś system jest hipokryzją, film byłby propagandą. Zamiast tego milczy, a cisza ta jest oskarżeniem obu stron równocześnie.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 931df08398

Państwo złotego środka

Waszyngton głodzi, Pekin inwestuje



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Stany Zjednoczone od ponad 60 lat próbują doprowadzić Kubę do takiej nędzy, żeby Kubańczycy z wdzięcznością przyjęli od nich „demokrację" – słowo, które w ustach obecnej władzy USA brzmi jak ponury żart. Mechanizm działania jest osobliwy, ale uchodzi w Waszyngtonie za szczyt politycznego rozumu. Najpierw odcina się kraj od paliwa, banków, kredytów, inwestycji i normalnego handlu. Potem pokazuje się kolejki, ciemne mieszkania i puste sklepy jako dowód niewydolności jego ustroju.

Embargo wobec Kuby trwa 67 lat. Za drugiej kadencji Donalda Trumpa to już nie tylko embargo, to blokada. Waszyngton chce wymusić zmianę ustroju Kuby. Zmiana rzeczywiście nadchodzi. Tyle że zamiast uczynić z wyspy gospodarczy przedsionek Florydy i riwierę dla bogaczy, Trump i Rubio własnymi rękami popychają ją w stronę chińskiego modelu rozwoju. Chcieli odzyskać Kubę dla Ameryki, zamiast tego mogą ją urządzić Chinom.

Demokracja z prawami administratora

Przed rewolucją Kuba nie była formalnie amerykańską kolonią. Była czymś jeszcze wygodniejszym – państwem nominalnie niepodległym, w którym Stany Zjednoczone przez dziesięciolecia zachowywały prawo do eksploatacji zasobów i politycznej korekty ustawień.

Po wojnie z Hiszpanią Amerykanie okupowali wyspę do 1902 r. Jej niepodległość obwarowali poprawką Platta pozwalającą Stanom Zjednoczonym na interwencję. Potem przyszły amerykańskie koncerny, banki, plantacje, właściciele ziemscy, pełna mafijna obsługa kubańskich obywateli i Fulgencio Batista – dyktator odpowiednio antykomunistyczny, a więc w oczach Waszyngtonu wystarczająco demokratyczny. Kubańczycy mieli prawo wybierać pod warunkiem, że dokonywali „właściwego" wyboru.

Tak działa eksportowa odmiana amerykańskiej demokracji. Przypomina oprogramowanie zainstalowane w cudzym państwie, do którego Waszyngton zachowuje konto administratora. Obywatele mogą głosować, uchwalać i debatować, ale kiedy wynik nie podoba się właścicielowi licencji, zaczynają się sankcje, przewroty, finansowanie opozycji albo bombardowanie w obronie wolności, która przed chwilą została potraktowana pociskiem manewrującym. Zamiast tego rewolucja z 1959 r. ogłosiła hasło: „¡Viva Fidel!".

W 1961 r. nastąpiła inwazja w Zatoce Świń przeprowadzona przez kubańskich emigrantów wyszkolonych, uzbrojonych i zorganizowanych przez CIA. Zakończyła się kompromitacją. Później była operacja Mongoose, sabotaż, próby obalenia władz, zamachy i pełne embargo handlowe wprowadzone w 1962 r. Od tamtej pory główną zbrodnią Kuby pozostaje to, że jej rządu nie zatwierdza Departament Stanu.

Do demokracji przez żołądek

Słowo „embargo" fałszuje obraz sytuacji. Embargiem byłaby decyzja Stanów Zjednoczonych: nie handlujemy z Kubą. Tymczasem amerykańskie przepisy i sankcje mają wymusić podobne zachowanie na firmach, bankach i armatorach z innych państw. Waszyngton nie poprzestaje na zamknięciu własnego rynku dla Kuby; utrudnia rozliczenia i ściga podmioty współpracujące z kubańskim państwem. Statek, który handlowo zawinie do kubańskiego portu, co do zasady przez następne 180 dni nie może obsługiwać przewozów w portach Stanów Zjednoczonych. Zagraniczny bank wie natomiast, że jedna transakcja związana z Kubą może kosztować go więcej niż cały interes z wyspą. To nie jest zwykłe „niehandlowanie". To blokada.

W styczniu 2026 r. Trump ogłosił, że działania kubańskiego rządu stanowią „niezwykłe i nadzwyczajne zagrożenie" dla Stanów Zjednoczonych. Zagrożenie okazało się tak potężne, że 11-milionowa wyspa z niedoborem paliwa, starymi elektrowniami i chronicznymi przerwami w dostawach prądu zatrzęsła atomowym mocarstwem wyposażonym w lotniskowce, satelity i arsenał zdolny kilka razy zakończyć historię ludzkości.

Trump umożliwił nakładanie dodatkowych ceł na towary pochodzące z państw dostarczających Kubie ropę. Później rozszerzył sankcje na osoby, firmy i instytucje finansowe współpracujące z kluczowymi sektorami kubańskiej gospodarki. Syn kubańskich emigrantów (nota bene z czasów Batisty), sekretarz stanu w USA Marco Rubio powtarzał tymczasem, że Kuba „musi się zmienić". Najpierw sankcjami zwiększa cierpienie ludności, a następnie oczekuje, że ludność uzna sponsora swojego cierpienia za wyzwoliciela. To polityczna alchemia kubańskiej emigracyjnej diaspory z Miami: z głodu ma powstać wdzięczność, z upokorzenia – liberalizm, a z przerw w dostawach prądu – wolne wybory z wynikiem zatwierdzonym w Waszyngtonie.

Wyspa w białym fartuchu

Kuba popełniła wiele własnych błędów. Jej gospodarka była nadmiernie scentralizowana, biurokratyczna, mało elastyczna i przez lata uzależniona najpierw od Związku Radzieckiego, później od wenezuelskiej ropy. Ale czy mogło być inaczej? Administracyjne zarządzanie produkcją tłumiło inicjatywę, marnowało zasoby i pozwalało urzędnikowi wygrać z człowiekiem, który chciał coś wyprodukować. Być może sankcje nie stworzyły wszystkich kubańskich problemów, ale sprawiły, że za każdy błąd wyspa płaci wielokrotnie, a każda awaria zmienia się w kryzys narodowy.

Mimo to państwo powstałe po rewolucji osiągnęło rzeczy, których nie da się uczciwie unieważnić słowem „propaganda". Stworzyło powszechną edukację, publiczną ochronę zdrowia i zaawansowany sektor biotechnologiczny. Kubańczycy opracowali VA-MENGOC-BC – pierwszą wprowadzoną do szerokiego użycia skuteczną szczepionkę przeciw inwazyjnej chorobie meningokokowej serogrupy B. Stworzyli też CIMAvax-EGF – terapeutyczną szczepionkę mającą pomagać między innymi w leczeniu niedrobnokomórkowego raka płuc. Preparat jest nadal testowany klinicznie w USA. Podczas pandemii Kuba jako pierwszy kraj Ameryki Łacińskiej opracowała i masowo zastosowała własne szczepionki przeciw COVID-19.

Przez dziesięciolecia setki tysięcy kubańskich pracowników ochrony zdrowia uczestniczyły w zagranicznych misjach medycznych. Nie wszystkie te misje były bezinteresowną pomocą. Część stanowiła odpłatny eksport usług i ważne źródło dochodów państwa. Pojawiały się także uzasadnione zarzuty dotyczące warunków zatrudnienia medyków. Nie należy ich przemilczać. Nie zmienia to faktu, że kubańscy lekarze docierali do biednych regionów Afryki, Ameryki Łacińskiej i Azji, do których bogate państwa najczęściej wysyłały biznesowego konsultanta i broszurę o budowaniu odporności. Kuba nie miała pieniędzy, więc zrobiła kapitał z wiedzy. Lekarza trudniej zablokować na rachunku bankowym niż dolary.

Tu wchodzą Chiny

Wchodzą na scenę nie jako organizacja charytatywna ani przyjaciel ludzkości, lecz jako potężne państwo realizujące własne interesy. To fakt, że chiński system ogranicza wolność słowa, pluralizm polityczny, niezależność mediów i swobodę organizowania się. Stosuje cenzurę, nadzór i represje. Nie ma powodu tego lukrować. Nie ma jednak też powodu ulegać złudzeniu, że partie finansowane przez biznes i oligarchów będą działać na rzecz ogółu obywateli – zwłaszcza gdy po wyborach grzecznie oddają faktyczną władzę bankom, funduszom i korporacjom. Nie ma powodu uznawać za wzór demokracji systemu, w którym media nie rywalizują w ujawnianiu prawdy, a jedynie o dywidendę.

W ciągu około czterech dekad Chiny wydźwignęły ze skrajnego ubóstwa blisko 800 mln ludzi. Według Banku Światowego odpowiadało to za ponad trzy czwarte światowego spadku skrajnego ubóstwa w tym okresie. To wynik pracy setek milionów ludzi, industrializacji, reform rynkowych, inwestycji publicznych, infrastruktury, edukacji i rządzonego przez KPCh państwa, które nie zgodziło się, by kierunek rozwoju i cel polityki społecznej wyznaczała wyłącznie stopa zwrotu kapitału.

Jasne, że wzrost gospodarczy nie unieważnia represji, tak jak wybory nie unieważniają bezdomności, głodu ani władzy wielkiego kapitału. Wolność słowa jest ważna. Wolność od nędzy także. Człowiek nie powinien wybierać między możliwością skrytykowania rządu a możliwością nakarmienia dzieci.

Amerykańska propaganda przedstawia Chiny jako dowód, że rozwój bez liberalnej demokracji jest moralnie podejrzany – Chiny dowodzą, że jest możliwy. Miliony mieszkańców Globalnego Południa widzą kraj, który jeszcze niedawno był biedny i zależny, a dziś potrafi samodzielnie budować elektrownie atomowe i fotowoltaiczne, porty, koleje wielkich prędkości, sztuczną inteligencję i telefony komórkowe bez pytania Waszyngtonu o pozwolenie. Dla Kuby ten przykład jest znacznie bardziej użyteczny niż kolejna mowa Rubio o wolności.

Rynek ma nakarmić socjalizm

W czerwcu 2026 r. kubańskie władze przyjęły pakiet 176 zmian gospodarczych i społecznych. Reformy mają rozszerzyć działalność prywatnych przedsiębiorstw, umożliwić im bezpośredni handel zagraniczny, dopuścić większy udział kapitału zagranicznego i prywatnego w bankowości oraz przebudować część przedsiębiorstw państwowych. To najdalej idące otwarcie kubańskiej gospodarki od czasu rewolucji. Jego kierunek wyraźnie przybliża wyspę do rozwiązań znanych z Chin i Wietnamu – szerokiego wykorzystania rynku i prywatnego kapitału bez oddania przez partię władzy politycznej.

Kuba nie zamierza przywracać modelu sprzed 1959 r. Wydaje się, że próbuje wykorzystać rynek, aby zwiększyć produkcję, zdobyć kapitał, stworzyć miejsca pracy i przetrwać, nie oddając politycznego steru właścicielom największych portfeli. To ryzykowne. Rynek produkuje nie tylko towary, lecz także nierówności, korupcję i klasę ludzi, którzy po zdobyciu pieniędzy odkrywają w sobie powołanie do kontroli nad państwem. Ale kontrolowane otwarcie gospodarki nie musi oznaczać kapitulacji socjalizmu. Może być próbą uratowania jego podstaw – publicznej ochrony zdrowia, edukacji i suwerenności – za pomocą narzędzi, których stary model używać nie był w stanie.

Trump zaciska pętlę, Chiny podłączają prąd

Kto dostarczy Kubie kapitał, technologię i sprzęt potrzebny do reform? Stany Zjednoczone oferują sankcje oraz możliwość uzyskania pomocy i pomoc pod warunkiem politycznego podporządkowania. Europa milczy. Chiny oferują ryż, finansowanie, urządzenia energetyczne i udział w budowie elektrowni słonecznych.

W 2026 r. Pekin zatwierdził pomoc finansową wartą około 80 mln dol. oraz dostawy 60 tys. ton ryżu. Chińczycy wspierają również program budowy 92 kubańskich parków słonecznych i przekazują wyposażenie kolejnych instalacji.

Chiny nie robią tego z romantyzmu. Budują wpływy, otwierają rynek dla swoich firm, wzmacniają politycznego partnera i zdobywają przyczółek niedaleko wybrzeży największego rywala.

Chiny zdobywają sojuszników i budują alternatywę dla modelu zachodniej demokracji.

Scenariusz chiński dla Kuby nie jest przesądzony. Może się spełnić tylko pod warunkiem, że bandyckie decyzje Trumpa nie spowodują rozwiązywania kubańskiego problemu za pomocą siły. Nie ma publicznie potwierdzonej decyzji o inwazji. Są jednak groźby, sugestie użycia siły, militaryzacja języka oraz oficjalne przedstawianie Kuby jako nadzwyczajnego zagrożenia dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Nie można tego lekceważyć. Amerykański atak mógłby zniszczyć nie tylko kubańskie reformy, lecz także cały dorobek społeczny rewolucji, doprowadzić do masowych ofiar, kolejnej fali migracji i chaosu tuż przy granicach Stanów Zjednoczonych. Trump mógłby potem ogłosić – tak jak lubi – zwycięstwo nad kryzysem, który sam stworzył. Jeżeli jednak do wojny nie dojdzie, amerykańska blokada może osiągnąć rezultat dokładnie przeciwny do zamierzonego.

Rubio chciał wymusić reformy. Wymusił. Chciał, by były amerykańskie. Będą chińskie. Chciał wykazać, że socjalizm nie ma przyszłości. Może sprawić, że 150 km od Florydy powstanie najbardziej spektakularna wystawa chińskiego socjalizmu rynkowego na półkuli zachodniej. Ameryka od siedmiu dekad próbuje odebrać Kubie przyszłość. Może właśnie oddaje ją Chinom.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 931df08398

Kto będzie Greatest of All Time?

Ostatni taniec LeBrona

Największy koszykarz XXI w. LeBron James po 23 sezonach w NBA podpisał kontrakt z Philadelphia 76ers. Jeśli rzeczywiście będzie to jego ostatnia umowa, to zaczyna się ostatni rozdział jednej z najbardziej niezwykłych karier w historii sportu.

LeBron ma już za sobą więcej minut na parkiecie niż jakikolwiek koszykarz w dziejach NBA. Zdobył cztery mistrzostwa z trzema różnymi klubami, został najlepszym strzelcem w historii ligi i w wieku 42 lat wciąż jest zawodnikiem, którego żaden trener nie chciałby oglądać po drugiej stronie parkietu.

Ale ten transfer nie jest wyłącznie próbą zdobycia piątego pierścienia. To także ostatnia próba przekonania kibiców, że to właśnie on, a nie Michael Jordan zasługuje na miano GOAT – Greatest Of All Time – najlepszego koszykarza w historii sportu. W tej debacie nie chodzi tylko o liczby i statystyki, bo trudno jest porównać obu sportowców: Jordan i LeBron grali właściwie w dwóch różnych światach.

Dwóch królów z dwóch epok

Michael Jordan dorastał w czasach, gdy żeby zobaczyć przyszłą gwiazdę, trzeba było pojechać na szkolny mecz. Nie było YouTube'a, Instagrama ani wiralowych filmików z wsadami nastolatków. Jeśli skaut z uniwersytetu lub NBA nie przyjechał do twojego miasta, mógł cię po prostu nie zauważyć.

Jordan przeszedł klasyczną drogę. Liceum w rodzinnej Karolinie Północnej. Potem Uniwersytet Karoliny Północnej, gdzie już jako pierwszoroczniak trafił zwycięski rzut w finale NCAA. Dzisiaj ten moment obejrzałby cały świat w mediach społecznościowych. W 1982 r. widziała go publika w szkolnej hali i widzowie telewizji CBS. Jordan wcale nie był uznawany za cudowne dziecko. W liceum nawet nie zmieścił się do pierwszej drużyny szkolnej. Dopiero później jego talent eksplodował.

LeBron miał dokładnie odwrotnie. Jeszcze przed ukończeniem szkoły średniej był najbardziej znanym licealistą w Ameryce. Mecze jego szkoły transmitowała telewizja ESPN. Na okładce „Sports Illustrated" pojawił się jako 17-latek z podpisem „Wybraniec". Większość nastolatków zastanawia się wtedy, czy zda maturę. LeBron zastanawiał się raczej, czy Nike zapłaci mu 90 mln dol. jeszcze przed pierwszym meczem w NBA. I właśnie dlatego jednym z najbardziej niedocenianych osiągnięć Jamesa jest nie to, ile wygrał. Przez ponad 20 lat praktycznie nie miał żadnych skandali, prowadził wzorowe życie prywatne i wytrzymał ciężar oczekiwań, z którym niewielu ludzi potrafiłoby funkcjonować dłużej niż miesiąc.

Jordan został wybrany z trzecim numerem draftu w 1984 r. Przed nim wybrano Hakeema Olajuwona i Sama Bowiego. Historia do dziś przypomina Portland Trail Blazers, że mogli mieć Michaela Jordana. LeBron takich wątpliwości nie miał. Kiedy Cleveland Cavaliers wygrali loterię draftu w 2003 r., cała Ameryka wiedziała, kto usłyszy swoje nazwisko jako pierwszy. To była formalność. Największy talent swojego pokolenia wracał do rodzinnego Ohio.

Lojalność? To zależy od epoki

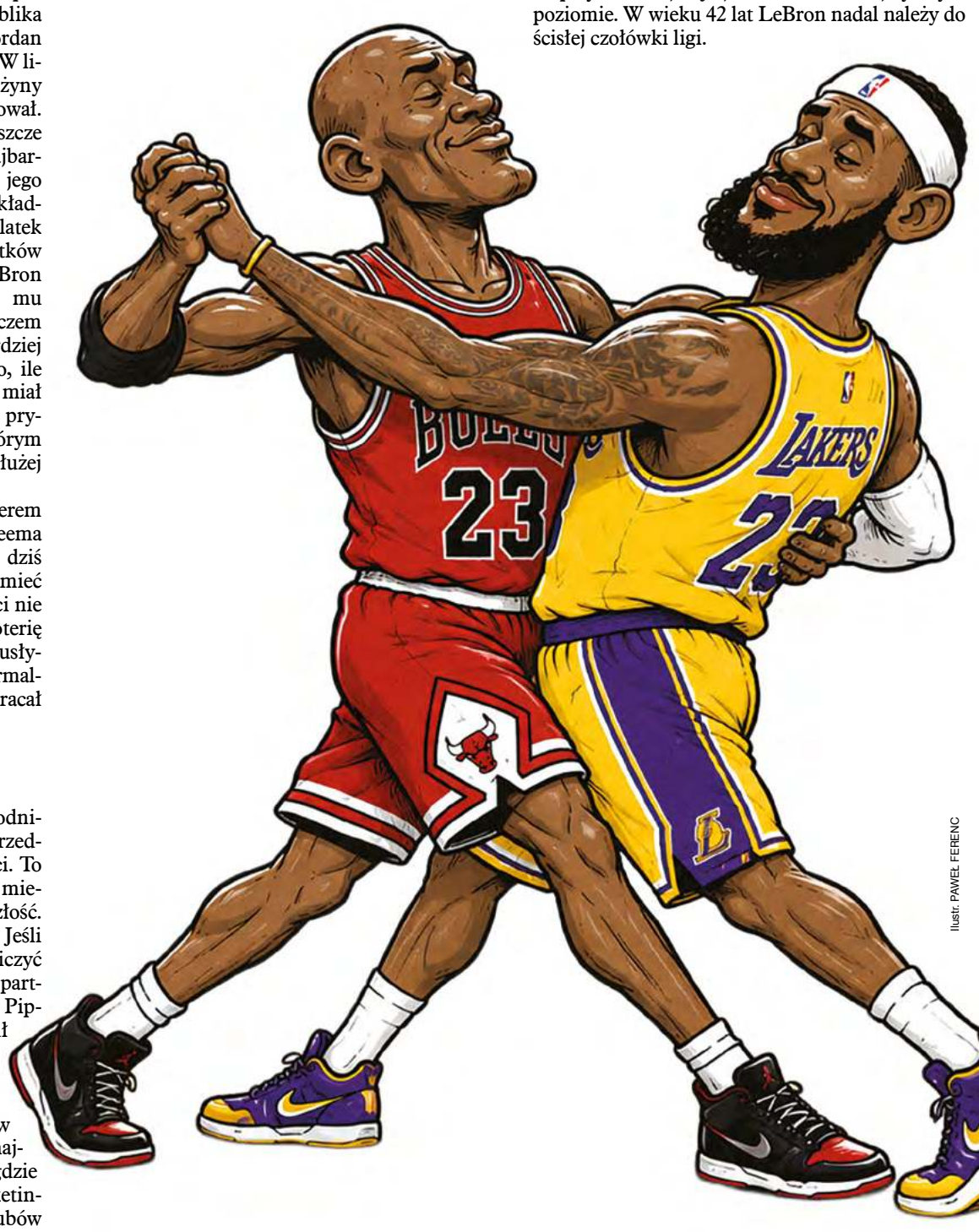
Jordan przez niemal całą karierę był zawodnikiem Chicago Bulls. Dzisiaj wielu kibiców przedstawia to jako dowód bezgranicznej lojalności. To tylko część prawdy. W latach 80. zawodnicy mieli znacznie mniejszy wpływ na swoją przyszłość. O transferach decydowali właściciele klubów. Jeśli Jordan chciał zdobyć mistrzostwo, musiał liczyć na to, że działacze znajdą mu odpowiednich partnerów. Dopiero gdy do Chicago trafił Scottie Pippen, Bulls stali się dynastią. Na pierwszy tytuł Jordan czekał siedem lat.

LeBron funkcjonował już w zupełnie innym świecie. Kolejne porozumienia między ligą a związkiem zawodowym zawodników sprawiły, że gracze zyskali podmiotowość i największe gwiazdy zaczęły same wybierać, gdzie chcą grać. Narodziła się era, gdzie siła marketingowa zawodników dominowała nad siłą klubów i ich właścicieli. LeBron był jej symbolem. Po siedmiu sezonach bez mistrzostwa w Cleveland uznał, że dalsze czekanie nie ma sensu. Zrobił coś, czego do dziś wielu kibiców mu nie wybaczyło.

Latem 2010 r. James był wolnym zawodnikiem i cały koszykarski świat czekał na decyzję LeBrona: w którym klubie zagra w następnym sezonie. Każdy spodziewał się konferencji prasowej. LeBron postanowił zrobić telewizyjne widowisko. Specjalny program ESPN zatytułowany „The Decision" oglądało ponad 13 mln widzów. Po kilkudziesięciu minutach napięcia James wypowiedział słynne, choć pokracznie brzmiące zdanie: „Przenoszę swój talent do South Beach". Wybrał drużynę Miami Heat. Razem z kolegami, gwiazdami reprezentacji USA Dwaynem Wade'em i Chrisem Boshem, stworzyli wielkie trio w Miami, które miało zdominować ligę na lata i seryjnie zdobywać mistrzostwa.

W Cleveland wypowiedziane przed całym krajem słowa Lebrona potraktowali jak wypowiedzenie wojny. Kibice palili jego koszulki. Właściciel Cavaliers napisał emocjonalny list, w którym praktycznie ogłosił LeBrona zdrajcą. Nawet neutralni fani uznali, że całe przedstawienie było przesadą.

To był chyba jedyny moment, gdy Michael Jordan otwarcie skrytykował Jamesa. Powiedział, że sam nigdy nie próbowałby łączyć sił z największymi rywalami: „Chciałem pokonać Magica Johnsona i Larry'ego Birda. Nie do nich dołączyć". Trudno się z nim spierać. Ale Jordan nigdy nie miał możliwości podjęcia podobnej decyzji.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Człowiek, który oszukał czas

LeBron umiał wyciągnąć wnioski z nieudanego przedstawienia i swojej decyzji. Cztery lata później wracał do Cleveland. Nie było programu telewizyjnego, nie było świateł. Był spokojny tekst w „Sports Illustrated", w którym nawet sam zażartował, że tym razem nie będzie żadnego show. Dwa lata później wywalczył zapewne największe osiągnięcie swojej kariery.

Finał NBA 2016. Golden State Warriors prowadzili już 3:1 w serii do czterech zwycięstw. Nikt wcześniej nie odrobił takiej straty w finale. LeBron i Cleveland Cavaliers odrobili. Cleveland zdobyło pierwsze mistrzostwo w historii zawodowych lig amerykańskich od ponad pół wieku, a James dostarczył swojemu rodzinnemu miastu najbardziej emocjonalny tytuł XXI w.

I tutaj dochodzimy do sedna całej debaty. Jordan wygrał sześć mistrzostw. Sześć finałów. Sześć zwycięstw. Ani jednej porażki. Nigdy nawet nie dopuścił do siódmego meczu finału. LeBron wygrał cztery mistrzostwa. Do finału wszedł dziesięć razy. Sześć razy przegrał. To właśnie ten argument najczęściej zamyka dyskusję zwolennikom Jordana.

Jordan ma niesamowity rekord z finałów ligi. Jeżeli istnieje kategoria, w której LeBron nie ma sobie równych, to jest nią długowieczność. Najwięcej punktów, najwięcej minut, najwięcej meczów w play-off. Najwięcej sezonów na najwyższym poziomie. W wieku 42 lat LeBron nadal należy do ścisłej czołówki ligi.

Obu graczy łączy wielka etyka pracy i przywiązywanie ogromnej wagi do treningów. Jordan był maniakiem. Już w latach 80. zatrudniał osobistego trenera i spędzał wakacje na siłowni. Nie potrzebował prawie snu. Słynął z obsesyjnej chęci rywalizacji, niezależnie od tego, czy chodziło o koszykówkę, golfa, czy zwykłą grę w karty w kasynie. Ale nauka i wiedza o sporcie wyglądała wtedy zupełnie inaczej. LeBron funkcjonuje jak projekt naukowy. Od lat inwestuje miliony dolarów w dietetyków, fizjoterapeutów, trenerów przygotowania motorycznego i regenerację. Korzysta z krioterapii, monitoringu snu, zaawansowanych metod odnowy biologicznej, a nawet podróżuje z przenośną komorą hiperbaryczną. Efekt? Jego ciało starzeje się znacznie wolniej, niż przewidywała historia NBA.

„Shut up and dribble"

Największa różnica między nimi dotyczy jednak czegoś zupełnie innego. Jordan uważał, że sportowiec powinien przede wszystkim grać. Polityki unikał.

W 1990 r. w Karolinie Północnej – rodzinnym stanie Michaela – odbywał się zacięty wyścig o fotel senatora. Demokraci wystawili Harveya Gannta, czarnoskórego architekta i burmistrza Charlotte, największego miasta stanu. Po drugiej stronie stanął broniący urzędu senatora republikanin Jesse Helms. Helms był rasistą i bigotem i specjalnie tego nie ukrywał – prawo znoszące segregację białych i czarnych obywateli w autobusach określił jako „najgroźniejszy przepis kiedykolwiek wniesiony pod głosowanie". Potrafił blokować nominację kobiety na publiczne stanowisko, uzasadniając to publicznie tylko jednym argumentem: „to cholerna lesba". W kampanii w 1990 r. atakował rywala, wypuszczając serię reklam skierowanych do białych mieszkańców, które w dość prymitywny sposób podkreślały kolor skóry rywala.

Wiele osób prosiło Jordana – który miał wtedy status największej gwiazdy amerykańskiego sportu – o poparcie dla Harveya Gannta i pomoc w usunięciu senatora rasisty. Nic z tego. Jak stwierdził podobno, mówiąc do kolegów: „Republikanie także kupują moje buty". Bardzo

rozczarował tym swoich wielkich poprzedników Billa Russella czy Kareema Abdula Jabbara, którzy w trudnych dla czarnych obywateli czasach ryzykowali wiele, by walczyć o równe prawa dla wszystkich. Później Jordan tłumaczył się, że był to żart,

ale uczciwie przyznawał, że świadomie nie angażował się w politykę, bo liczył się dla niego tylko sport.

LeBron obrał dokładnie odwrotną drogę. Wspierał kampanię „More Than a Vote", walczącą z ograniczaniem praw wyborczych. Założył szkołę I PROMISE School dla dzieci z trudnych środowisk w Akron. Po śmierci George'a Floyda stał się jednym z najgłośniejszych głosów ruchu Black Lives Matter. Gdy prezenterka Fox News Laura Ingraham powiedziała mu słynne *Shut up and dribble* (zamknij się i kozłuj), LeBron odpowiedział dokładnie odwrotnie. Uruchomił kampanię „More Than an Athlete" (Jesteśmy kimś więcej niż sportowcami), a później wykorzystał obraźliwy slogan prezenterki i wyprodukował serial dokumentalny „Shut Up and Dribble", pokazujący, jak zmieniła się rola czarnoskórych sportowców w Ameryce.

Jordan budował markę sportowca i przedsiębiorcy, LeBron buduje markę sportowca, przedsiębiorcy, producenta filmowego, filantropa i aktywisty.

Kto jest GOAT?

Ta dyskusja pewnie nigdy się nie skończy – chociaż większość kibiców i ekspertów wskazuje na Jordana. Jeśli najważniejsza jest perfekcja w najważniejszych momentach – wygrywa Jordan. Jeśli liczy się długość kariery, wszechstronność, rekordy i umiejętność utrzymania najwyższego poziomu przez ponad dwie dekady – argumenty ma LeBron.

Jordan był najlepszym zabójcą na parkiecie. Bali się go wszyscy. Miał aurę zawodnika, którego nie da się pokonać w finale. LeBron pewnie nigdy nie zdobędzie już piątego i szóstego mistrzostwa. Ale jeśli z Philadelphia 76ers raz jeszcze zamiesza w walce o tytuł, to zrobi coś, co jeszcze kilka lat temu wydawało się niemożliwe – przedłuży debatę o GOAT o kolejną dekadę.

Bo najpiękniejsze sportowe dyskusje to te, których nie da się ostatecznie rozstrzygnąć.

LEON ORŁOWSKI

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 29.07.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 931df08398

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Prezes Kaczyński wygląda na rozczarowanego, gdy tak rozgląda się po swoim gabinecie.

– Pusto jakoś… – szepcze.

– Normalnie. – Sasin macha ręką.

– Jak zwykle – dodaje Bocheński, ściskając w ręku pół kostki polskiego masła.

– Nawet jeśli pusto, to przecież tak jest lepiej – mówi Jaki pewnym głosem wiceprezesa Prawa i Sprawiedliwości.

Kaczyński nie wydaje się przekonany.

– Kogoś brakuje… – mamrocze z uporem starca.

– Jeśli tak, to możemy zawołać Jacka albo Przemka – usłużnie proponuje Bocheński, wiceprezes tak jak Jaki.

– Kurskiego albo Czarnka – precyzuje Jaki i zaraz pyta: – Tylko po co?

Prezes nie ma ochoty odpowiadać. Nie wyraża entuzjazmu ani nawet aprobaty. Zaczyna się kiwać jak dziecko z chorobą sierocą.

Podwładni nie wiedzą, co zrobić. Mogliby wyjść z gabinetu, by pozwolić prezesowi przeżywać tęsknotę w samotności. Albo spróbować psychoterapii.

– Rozumiemy przygnębienie po stracie. – Bocheński moduluje głos terapeutycznie. – Nam też nie jest łatwo. Ale robimy wszystko, żeby zaakceptować nową rzeczywistość, w której nie ma miejsca dla zdrajców i sprzedawczyków.

Kaczyński przymyka oczy. Spod prawej powieki wypływa jedna samotna łza.

– Damy sobie radę – zapewnia Sasin, usiłując wnieść do swojej wypowiedzi trochę radości.

– Nie będzie gorzej, a może nawet lepiej – niepewnie mówi Bocheński, a potem nuci falsetem: – „Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie”.

– Baba z wozu, koniom lżej. – Jaki krzywi usta w namiastce bezceremonialnego uśmiechu.

Prezesem wstrząsa spazm: oczami wyobraźni widzi Morawieckiego, który zsiada z furmanki.

– Ach, Mateusz… – chlipie.

Partyjni podwładni Kaczyńskiego drżą pełni obaw. Jeśli teraz czegoś nie zrobią, to prezes gotów jest rozpaść się na kawałki.

– Wróci tu jak syn marnotrawny – ostrożnie mówi Sasin.

– Na kolanach będzie prosił o wybaczenie – włącza się w ten sam ton Bocheński.

– „Jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie” – mruczy Jaki, poniewczasie zdając sobie sprawę, jak bardzo fałszywie to brzmi.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN pisze i wspomina. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** też co nieco pamięta.

Senyszyn: – W sierpniu mija 30 lat od liberalizacji ustawy antyaborcyjnej.

Wołk-Łaniewska: – Jakby było miło, gdyby dało się w tym miejscu postawić kropkę…

– Bardzo. Ale niestety. 28 maja 1997 r. ówczesny Trybunał Konstytucyjny pod wodzą przewodniczącego Andrzeja Zolla uznał za niekonstytucyjną dopuszczalność przerwania ciąży ze względu na trudne warunki życiowe kobiety. Była to nadinterpretacja konstytucji równie bezprawna, jak dokonana 23 lata później, w 2020 r., przez Trybunał Przyłębskiej, który za sprzeczne z konstytucją uznał przepisy z 1993 r. o aborcji z powodów embriopatologicznych i tym samym praktycznie całkowicie jej zakazał.

– A ja bym nawet zaryzykowała twierdzenie, że bardziej bezprawna. Decyzja TK nastąpiła po uchwaleniu nowej konstytucji, ale przed jej wejściem w życie; obowiązywała jeszcze tzw. mała konstytucja. Więc trybunał miał do dyspozycji dwie ustawy zasadnicze i w żadnej nie było ani słowa o dzieciach poczętych. W komisji konstytucyjnej toczyła się dyskusja na ten temat, bo integryści katoliccy oczywiście chcieli wpisać ochronę życia od poczęcia – i większość parlamentarna podjęła decyzję, że takiego zapisu tam nie będzie.

– Ta dyskusja była w 2007 r., za pierwszego kaczyzmu: z inicjatywą dopisania słów „od poczęcia do naturalnej śmierci” wystąpiły środowiska przykościelne z ówczesnym marszałkiem sejmu Markiem Jurkiem na czele. Episkopat prowadził krucjatę na rzecz nowelizacji, bo piekła dwie kościelne pieczenie przy jednym ogniu. Nie dość, że definitywnie likwidowała legalną aborcję, to jeszcze eliminowała ewentualne przyszłe próby legalizacji eutanazji. Sejm nowelizację odrzucił.

– To też, ale ja mówię o komisji konstytucyjnej z lat 1993–1997, tej którą zaczął Kwaśniewski. Tam też były takie postulaty – i zostały odrzucone. Więc nie było to jakieś przeoczenie czy zaniedbanie, tylko wyraźnie wyrażona wola ustrojodawcy. Wobec czego prof. Zoll, wierny syn Kościoła, wysmażył dla zakazu aborcji kompletnie groteskowe uzasadnienie, które brzmiało mniej więcej tak: konstytucja stanowi, że Polska jest demokratycznym państwem prawnym, państwo to wspólnota ludzi, a płód – a dokładnie „życie rozwijające się w fazie prenatalnej” – jest człowiekiem.

– Chyba nie wiedział – albo nie chciał wiedzieć – że wszystkie demokratyczne państwa mają w swoich konstytucjach ochronę życia i równocześnie dopuszczają przerywanie ciąży. Ale ten trybunał zawsze był klerykalny, a bardzo rzadko konstytucyjny. Kiedyś nazwałam go nawet prostytucyjnym…

– To Piłsudskim pojechałaś.

– A jak! Prokuratura prowadziła sprawę o obrazę konstytucyjnego urzędu, ale skończyło się na niczym.



Rys. OBYWATEL JANEK

– Kiedy 10 lat temu PiS gwałcił TK, napisałam tekst zatytułowany „Nie płakałam po Trybunale”. Właśnie o tym, że trybunał miał niewiele wspólnego z państwem prawa, bo zawsze bardziej słuchał Kościoła niż konstytucji. I jestem dziwnie pewna, że w kwestii transkrypcji małżeństw jednopłciowych – której pisowski TK zakazał w ostatni wtorek – i za czasów Zolla, i za czasów Rzeplińskiego orzeczenie byłoby takie samo.

– Pewnie tak, co nie zmienia faktu, że to orzeczenie jest skandaliczne. A co ze 180 parami, które już przeszły proces transkrypcji? Dowiedzą się, że przez chwilę były małżeństwem, ale już nie są?

– Wracając do Zolla: na stróży w Białymstoku miałam również kino domowe. Takie pełnometrażowe, z ekranem i projektorem. Oraz dostęp do różnych skarbów kultury, w tym archiwum Teatru Telewizji. Obejrzałam sobie „Deprawatora” Wojtyszki: taką dość zabawną historyjkę o relacjach w trójkącie Gombrowicz – Miłosz – Herbert. I Gombrowicz wygłasza tam – ku oburzeniu Herberta – zdanie, które absolutnie zasługuje na zapamiętanie. Mówi otóż, że w Polsce ludzie z przekory zakładają Kluby Inteligencji Katolickiej, toteż inteligencję teraz dzieli się na wrodzoną i katolicką.

– Popatrz, 60 lat minęło, a zauważenie nadal aktualne. Zoll i Przyłębska mają katolicką.

– Zmieniając temat, acz nie do końca: obejrzałam sobie jeszcze trochę klasyki z lat 70. „Dzień szakala”, „Jeden most za daleko”, „Szczęki”, dwóch „Ojców chrzestnych”. Boże nieistniejący, jakie to było dobre kino! I jeszcze natrafiłam na prawdziwy skarbiec: platformę z „National Georgraphic”, gdzie obejrzałam dokument o „Szczękach”.

– Przecież ty nie powinnaś zachwycać się filmem, w którym rekin jest szwarccharakterem. Zawsze mówiłaś, że kochasz rekiny.

– Kocham. To piękne, szlachetne zwierzęta, które wyewoluowały 400 mln lat temu. Cały ekosystem oceanów powstał wokół nich, aż przyszli ludzie i wszystko popsuli. Rekiny nie polują na ludzi, to ludzie polują na rekiny. Z 500 istniejących gatunków rekinów zaledwie trzy od biedy zasługują na tytuł ludojada: żarłacz biały, żarłacz tygrysi i żarłacz tępogłowy. Tylko te trzy gatunki mogą się poszczycić dwucyfrowymi wynikami w kategorii zabijania ludzi – w odnotowanej historii. Rekiny zabijają 4–10 osób rocznie na całym świecie. Dla porównania – psy: 30 tys. Komary – 750 tys. A ludzie zabijają co roku 475 tys. ludzi. I 100 mln rekinów.

– Głównie dla płetw, co jest całkowitym barbarzyństwem; odcinają płetwy i te okaleczone rekiny rzucają z powrotem do wody. Ale co z ciebie za wielbicielka rekinów, skoro nie obchodziłaś Międzynarodowego Dnia Rekina?

– Ojejku, a kiedy był?

– Chwilę temu, 14 lipca.

– Naprawdę? I ja to przeoczyłam? Już wpisuję do kalendarza, w przyszłym roku zrobimy z tej okazji okładkę z rekinem. Wracając wszakże do „Szczęk”: zachwycił mnie autor książki Peter Benchley, który opowiedział o swojej ulubionej recenzji. Otóż Frank Mankiewicz, bardzo słynny podówczas dziennikarz, robił wywiad z Fidelem Castro. I zapytał go, co teraz czyta, a Castro mu na to: „Tiburón”. Na co Mankiewicz: dlaczego czyta pan komercyjne amerykańskie thrillery? A Castro na to: myli się pan głęboko, to nie jest komercyjny amerykański thriller, to wspaniała metafora degeneracji kapitalizmu.

– Pamiętam, że Benchley chciał namówić agencję reklamową, żeby użyć cytatu z Fidela do promocji książki, ale się nie zgodzili.

– I zanim mnie znowu zażyjesz, to zaznaczę, że może o dniu rekina zapomniałam, ale o przypadających za dwa tygodnie 100. urodzinach Fidela pamiętam. Pamiętałam też o 26 lipca, czyli Narodowym Dniu Buntu, w rocznicę ataku na koszary Moncada. Byłam nawet w ambasadzie kubańskiej z tej okazji, poznałam przeuroczą panią ambasador, w przyszłym numerze będzie z nią wywiad. *Viva Cuba!*

– I na koniec: jak ci się podoba rozwój sytuacji w PiS-ie? Kaczyński nie spełnił marzenia Morawieckiego & company i nie wyrzucił ich z partii. Teraz komisja dyscyplinarna będzie niespiesznie rozpatrywać sprawę każdego posła indywidualnie. Żeby zrobić swoją partię i wystartować za rok w wyborach, muszą sami odejść z PiS. Nieźle ich rozegrał stary wyga.

– A ja akurat uważam, że to był taki rozpaczliwiec, który na długo nie starczył: skoro dzień później morawianie założyli sobie nowy klub parlamentarny, więc cała ta dyskusja, kto kogo, stała się akademicka. Marek Jakubiak, którego jakoś szczególnie nie poważam, powiedział wszakże coś mądrego: otóż że prezesowi wmówili, że to będzie z pięć osób, wyrzuci się je jednym kopem i szlus. A tu się okazało, że chodzi o czterdziestkę, więc prezes lekko się przeląkł i postanowił opóźniać proces. Ale Morawiecki jest już w marszu i raczej się nie cofnie. I ja mu kibicuję.

– Dlaczego?!

– Choćby dlatego, że nie jest Czarnkiem.

– Nie byłabym taka pewna, że Morawiecki to mniejsze zło. Raczej większe, bo bogatsze. Zawsze uważam, że zło bogatsze jest groźniejsze od biedniejszego.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 931df08398